

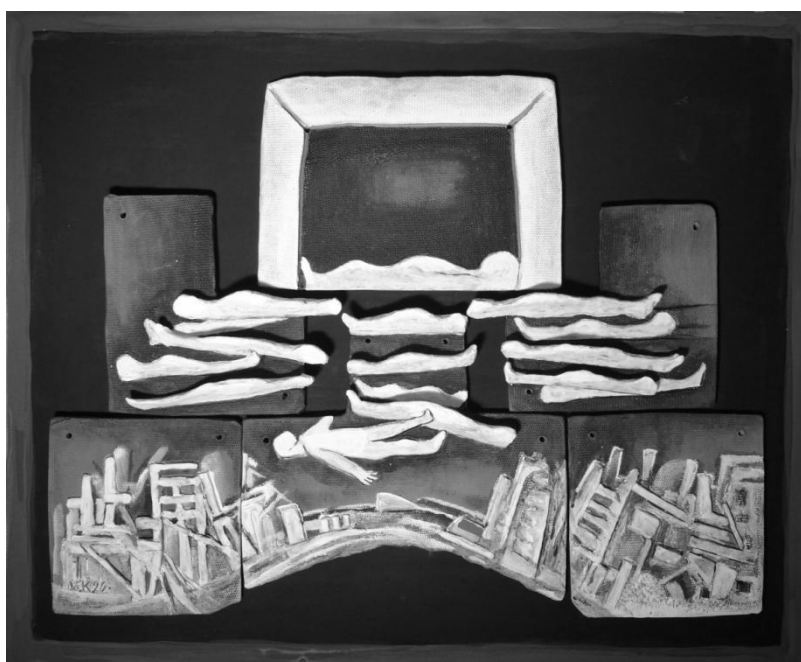


POZNAŃSKA
SPÓŁDZIELNIA
MIESZKANIOWA

PROTOKÓŁ k u l t u r a l n y



Nr 83 Rok XXV ISSN 1506-1833 Poznań 2023



Kazimierz Świegocki

Cień nad Europą

Podniósł się ziemski glob jak zwierz
kosmiczny.
Wbił w ciemne niebo śmiercionośne pazury
i czeka: aż krew popłynie z rozdartej
przestrzeni

Niżej doliny płyną i liżą mu kamienne stopy.
Morze lessowe wyrzuca co dzień na
powierzchnię miliony,
które gniew o głód ostrzą, dłonie o noże,
jakby składały przysięgę nieznanemu bogu,
gotowe iść w śmierć za każdym jego dzikim
pomrukiem,
promem starej Azji przepłynąć ziemię w
poprzek.

Tu zaś Europa — córka słonecznej Hellady,
trwożna bogini wolności ze stopami w Morzu
Śródziemnym
wsparta o szczyty alpejskie; włos jasny Gór
skandynawskich
ocean jej chłodzi północny.
Patrzy bogini i widzi: na wschodnie obszary
nieba

czarne słońce się wtacza, za którym jak za
czołgiem
idą miliony z okrzykiem: krwi, ognia, ryżu,
chleba.
Słucha bogini i słyszy, z dna wieków jak
mówią kamienie:
byli tu głodni i dzicy, ich cienie koczują
w ziemi.

A Ziemia jak ptak obłąkany lękiem w
firmament wrasta,
leci i nie wie, czy siła w noc ją popędza, czy
rozpacz.

Ziemia, nasza kołysko skrzypiąca w ciemnych
przestworzach
gniew im odejmij i ucisz krwi dzikiej i dłoni
pożar!
Gór napięte cięciwy rozluźnij jak uśmiech
dziecięcy,
jeźdźcom dzikim na stepach włócznie
na kwiaty pozmieniaj!
I niech chmury ogniste spłyną do morza
rzekami!
Ziemia - koniu kosmiczny, rżący żałośnie
w przestworzach!

Jak odnalazłem Ryszarda Schuberta

(i jakie są tego skutki)

Druga dekada XXI wieku była dla mnie okresem, kiedy przewartościowywałem swoje widzenie świata. W jego poznawaniu i opisywaniu przechodziłem niespiesznie, bez napinania się ideologicznego i artystycznego, z poezji na prozę i eseistykę, a z reportażu prasowego na fotografię dokumentalną. Pod koniec tej dekady Janusz Rajtaczak, jeden z moich dawnych znajomych, z którym na początku lat 80. pracowałem w gnieźnieńskim MOK-u, zadzwonił do mnie z Wrocławia i zapytał, czy wiem, gdzie w Poznaniu można znaleźć Ryszarda Schuberta, autora dwóch kultowych powieści z lat 70. – „TrentaTre” i „Panny Lilianki”? Rzecz w tym, że Schubert po opublikowaniu tych powieści (niezwykle cenionych m.in. przez Henryka Berezę i Leszka Bugajskiego), będących rewelacyjnym eksperymentem językowym i narracyjnym, nigdy nie wszedł do snobistycznej gildii pisarskiej Poznania, zamilkł i – jak głosiła legenda miejska, czy może raczej niosła wieść gminna – zajął się handlem ziemniakami na jednym z poznańskich rynków (Wilda, Jeżyce, Łazarz?), dzierżawiąc od miasta stragan, który ponoć od 40 lat stoi do dzisiaj w tym samym miejscu.

Ponieważ obie wspomniane tu powieści (w obu przypadkach jest to proza eksperymentalna) Ryszarda Schuberta z lat 70. od zawsze (prze czytane dwukrotnie) miały swoje miejsce na jednej z półek mojej domowej biblioteki, postanowiłem odnaleźć w Poznaniu ich autora, żeby na własne oczy przekonać się, jaka jest prawda o jego dalszych losach i obecnej kondycji. Najpierw więc musiałem znaleźć w Poznaniu kogoś, kto wie (a działa się to wczesną wiosną 2021 r.), na którym poznańskim rynku trzyma swój stragan poszukiwany prozaik. Po krótkim śledztwie na przełomie kwietnia i maja trafiłem na Rynek Wildecki, gdzie R. Schuberta jeszcze nie było, ale z telefonu jego znajomego, przy sąsiednim straganie, udało mi się zdobyć połączenie z panem Ryszardem. W trakcie krótkiej rozmowy wyjaśniłem kim jestem i dlaczego poszukuję autora „Panny Lilianki”. Pan Ryszard, czyli ten poszukiwany przeze mnie pisarz, z jakiegoś powodu zaufał mi i zgodził się na spotkanie i rozmowę.

Spotkanie odbyło się 6 maja, około godziny 14:30, a rozmowa – o której już wiedziałem, że poprowadzę ją z myślą o publikacji w ogólnokrajowym czasopiśmie – została nagrana w kabinie białego dostawczaka, obok straganu. W trakcie tej rozmowy okazało się, że Ryszard Schubert po 40 latach wrócił do pisania i jest autorem właśnie ukończonej powieści pt. „Świtezianka”. Ten zwykły (wydawać by się mogło) epizod, na poły dziennikarski, a na poły literaturoznawczy, zakończył się w ten sposób, że nasza rozmowa – zatytułowana „Od traumy do zachwyty, czyli słuch idealny” – ukazała się już po czterech miesiącach, we wrześniowym numerze miesięcznika „Twórczość”, wraz z obszernymi fragmentami „Świtezianki”. Bardzo pomocny w tej kwestii okazał się Leszek Bugajski, redaktor

„Twórczości”. Konsekwencją tego zdarzenia był fakt, że Państwowy Instytut Wydawniczy, w osobie redaktora Pawła Orła, upomniał się o tę powieść, więc Ryszard Schubert (ciągle piszący na starej tradycyjnej maszynie) przesłał do PIW-u swój maszynopis liczący ponad 450 stron. Po pewnym czasie PIW zaproponował mi napisanie ze „Świtezianki” recenzji wewnętrznej, oczywiście na potrzeby planów wydawniczych.

Popelniona przeze mnie obszerna (siedem stron znormalizowanego maszynopisu), analityczna recenzja sprawiła, że nie szukano już drugiego recenzenta, a dyrektor Wydawnictwa podjął decyzję o druku nowej powieści (także eksperymentalnej) w najbliższym możliwym terminie. Ponieważ Ryszard Schubert, starszy ode mnie o trzy lata, praktycznie nie korzysta z komputera i poczty elektronicznej, wziąłem na siebie zaszczepny obowiązek ułatwienia merytorycznych już kontaktów między Autorem i redaktorem Pawłem Orłem z PIW-u, który latem przyjechał do Poznania, aby poznać Pana Ryszarda i ustalić z nim (z moją skromną pomocą) dalsze działania rozpoczynające „proces produkcyjny” powieści. Kiedy te, na początek głównie techniczne, działania zostały zakończone, redaktor Paweł Orzeł napisał do mnie mail podsumowujący całość naszych wspólnych działań, kończąc go słowami: *Jeszcze raz dziękuję za Pana rolę dobrego ducha tej książki! A Ryszard Schubert? Przez półtora roku naszej znajomości dorobiłem się teczki z fragmentami jego powieści, z ręcznie pisanymi listami od niego, a przynajmniej raz w miesiącu spotykam się z nim i jego małżonką Marią w Poznaniu, na Wildzie, w kawiarni „Elite”, gdzie rozmawiamy o życiu, o dzieciach, wnukach, niełatwym losie straganiarza, ale także o literaturze, która nas połączyła. A „Świtezianka”? Oto ostatni akapit mojej recenzji dla Wydawnictwa PIW na temat tej powieści, cytuję:*

Na koniec zostawiam pytanie: Drukować czy nie drukować „Świteziankę? A jeżeli drukować, to jak obejść się z zawartością maszynopisu? Moim skromnym zdaniem książka ta zasługuje na publikację z kilku powodów. 1) Jest to utwór ekspresyjny – choć bez tradycyjnej fabuły – portretujący naszą współczesność na przykładzie losów jednej wielopokoleniowej, poznańskiej rodziny. 2) Jest to utwór w swoim przesłaniu uniwersalny, a przez to wartościowy, oraz zwyczajnie interesujący. 3) Jest to utwór (podobnie jak „TrentaTre” i „Panna Lilianka”) na pewno ważny dla polskiej prozy eksperymentalnej. 4) Jest to zapis niezwyklej aktywności literackiej pisarza obdarzonego wysokiej próby samoświadomością twórczą, który wrócił do pióra po 40 latach przerwy, a który żyje od 40 lat z pracy na własnym straganie warzywno-owocowym. 5) Jest to utwór, który z całą pewnością zasługuje na to, aby poznali go nie tylko wykładowcy uniwersyteccy i badacze polskiej prozy współczesnej. Jestem w stanie uwierzyć, iż znajdują się – jak Polska długa i szeroka – odbiorcy „Świtezianki”, miłośnicy prozy R. Schuberta nie tylko z mojego pokolenia. Jeżeli poprowadzi się minimalną chociaż promocję tej powieści, przypominając jednocześnie dwie wcześniejsze, to znajdą się chętni na fascynującą przygodę z tą prozą i tym razem z Ryszardem Schubertem w roli głównej, dzięki czemu maszynopis nie zmurszeje w przysłowiowej szufladzie pisarza – jako książka-legenda, książka-prowokacja, książka-niespełnienie. Osobiście wierzę w powodzenie tej sprawy.

POSTSCRIPTUM DCCCLVIII

nie daje się napisać
a jest
nie musi nic więcej

POSTSCRIPTUM DCCCLXI

jakby istniało coś
czego nie otulałaby
twoja nieobecność

POSTSCRIPTUM DCCCLXII

i tylko
twojego milczenia
nie słyhać

POSTSCRIPTUM DCCCLXIII

jakby można było
nie być tymi
których już nie ma

POSTSCRIPTUM DCCCLXIV

odnaleźć się czy zgubić
w tobie który jesteś
albo nie jesteś

POSTSCRIPTUM DCCCLXVIII

kiedy znużony czas
i spowszedniała przestrzeń
wtedy się pożegnać

Johann Wolfgang von Goethe

Przyjazd i rozłąka

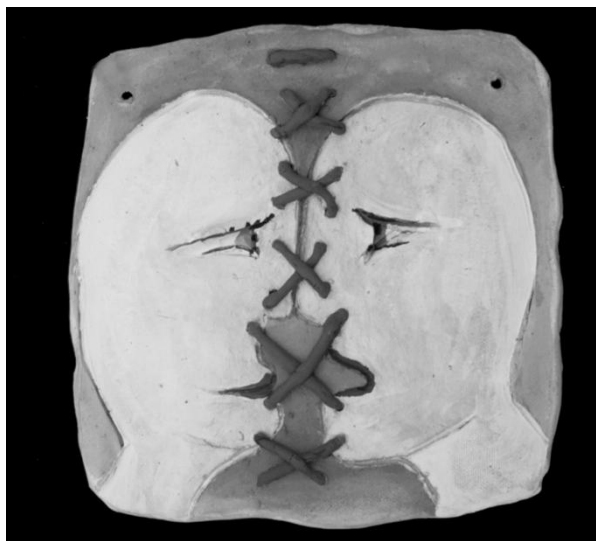
Zabiła pierś. Na koń, bez zwłoki!
Nim pomyślałem jużem gnał.
Kołysał wieczór świat szeroki
I zwiśla noc na szczytach skał;
Jak olbrzym, skryty wśród ciemności,
Stał opłynięty mgłami dąb,
Gdzie setki ślepi zza zarośli
Wlepiąla czarna mroku głąb.

I księżyc w dół z rzewnymi łzami
Wyglądał już zza wzgórza chmur,
Żałośnie trzeszczał wiatr skrzydłami,
Potwornie w uszy szeptał bór;
Wciąż zmor tysiące noc tworzyła,
Lecz rześki mego ducha czar:
A w żyłach moich ognia siła!
I w piersi mojej, co za żar!

Dotarłem. Lube twe spojrzenie
Słodczą szczęścia tryśło mi;
Dla ciebie każde me westchnienie
I w sercu moim jedna ty.
Jak różem wiosna przystroiła
Kochaną twarz — o, dobry Bóg!
Jakaż to rozkosz, moja miła!
Jak na tom ja zasłużyć mógł?

Lecz ach, już z pierwszym blaskiem słońca
Mi serce ścisła drogi dał:
W twych ustach czułość, ach, bez końca!
A w oczach twoich, jaki żal!
Ty w ziemię patrzysz na rozstanie,
Ja jadę, żegna mnie twa łza,
Lecz co za szczęście jest kochanie!
Jak szczęśliw, ach, kto miłość zna!

Tłumaczenie: Karol Wapniarski



Marta Fox

Doktorat w sejfie

Fragment powieści „Moja Ołowianko, klękniij na kolanko.

– Niech no tylko obronię doktorat, czasu będzie więcej – pocieszała matkę, bardziej jednak siebie.

Nie miała nawet siły opowiadać, jakie dołki pod nią kopano, jakie przeszkody nagle się piętrzyły. Teraz jej domysły stały się faktem. Zaczęło się od poprawek, te przyjmowała spokojnie, w końcu po to jest promotor, by wskazywał błędy, a doktorant je poprawiał. Udoskonalała tabele, robiła statystyki.

– Liczby zamienić na procenty? Proszę bardzo.

– To nie może być powiedziane wprost – irytowała się promotorka.

– Jak to nie może, skoro tak jest – oburzała się Królowa.

– W tym doktoracie nie może paść słowo „ołowica”, ani to, że dzieci są zatrute przez hutę.

– Przecież są, mam na to dowody w postaci pięciu tysięcy przebadanych dzieci.

– I dobrze, że praca jest tak udokumentowana, pani to wie i ja to wiem, ale to nie może być powiedziane tak kawa na ławę.

– Nie ubiorę tego w metafory, nie jestem poetką – broniła się Królowa.

– Wy tu, Królowa, żurem się nie lejcje, sami wiecie, o co chodzi, więc trzeba tak sformułować tezy, aby wilk był syty i owca cała, wicie, rozumiecie, prawda?

Królowa opuszczała ręce, ale nie poddawała się, miała nadzieję, że dołączy wypowiedzi innych lekarzy, pracowników huty. A tu nagle wszyscy dziwnym trafem nie mieli ani czasu, ani kompetencji.

– Chce pani mieć ten doktorat?

– To oczywiście, że chcę, przecież pracę napisałam, teraz tylko chcę ją obronić.

– To trzeba dać uszy po sobie, jak wierny pies, może warto nieco ukryć dane – promotorka ściszyła głos.

Jak wierny pies, jak pokorne cielę, które dwie matki ssie, nieraz słyszała te słowa. To prawda, nauczyła się pochyłać głowę, by fala, która nadciągała zaledwie ją obryzgała, a nie przewróciła, ale bez przesady, istnieją przecież granice, musi być jakaś pestka, której nikt nie nagryzie, w co nie przestaje się wierzyć, pomimo wszystkich srebrników i kompromisów. Mogła tysiąc razy pochyłać głowę, ale jednego nie, za żadną cenę.

– Przecież wie pani, jak jest, ułatwiłam badania, wszędzie dawałam zielone światło, chodziło przecież o dobro dzieci, ale teraz więcej już zrobić nie mogę, wie pani dlaczego, prawda? – promotorka włączyła radio.

– To sugestie samego generała Ziętka, on jest po naszej stronie, tyle że i jego gnębią. Kto? Wiadomo. Ten zimowy pan, dochtórko, ten Grudzień. Jonek jest jego przyjacielem, a Jonek jest rektorem Akademii Medycznej, widzi pani teraz jaka to skomplikowana sieć uzależnień – szeptała.

Królowa siedziała oniemiała.

– Powiem pani jeszcze jedno, straszono mnie więzieniem.

– Kto, na Boga!

– Boga w tę sprawę nie mieszajmy, on się nijak ma do czynników wielce partyjnych.

– Pani profesor, ale przecież recenzji jeszcze nie ma, prawda? Może więc nie wszystko stracone? To nie może się nie udać, tyle nieprzespanych nocy, tyle przebadanych dzieci.

– Widziała pani kiedyś tę prawdę, Królko? Jaki ona ma kolor? Jaki?

– Widziałam prawdę, pani profesor, jest żółta i śmierdząca jak wyziewy z huty i karłowata jak nasze chore dzieci – powiedziała Królowa odważnie, czując, że ratuje w sobie pestkę.

– Za tydzień będą recenzje, dam pani znać. Teraz już nie ma co rozdzierać szat, i tak są podarte jak stare gacie z ruską gumą.

Kiedy Królowa wracała po tej rozmowie, mijający ją na korytarzu szpitalnym kolega po fachu, powiedział: – Dziewczyno, nie walcz, bo tego doktoratu nie obronisz.

– Zając, nu pogodi – roześmiała się w głos. Oglądała z dziećmi tę radziecką kreskówkę o przygodach Wilka, który próbuje dopaść sympatycznego Zajęca. Z tej gonitwy Zając zawsze wychodzi cało, a Wilkowi pozostają tylko śmieszne pogroźki.

I oto znów siedziała w gabinecie profesorki. Czytała recenzje kilka razy i nie wierzyła oczom. Obie były negatywne, co oznaczało, że praca jest odrzucona.

– Pani profesor, przecież to są tak głupie uwagi, że mogłabym wszystko wyjaśnić i wyprostować w ciągu kilku minut.

– Nikt tego od pani nie żąda.

– Ale ja chcę na te zarzuty odpowiedzieć, proszę mi tylko dać egzemplarz mojej pracy.

– Nie mam. – Wszystkie są u rektora Józefa Jonka. Przecież podpisała pani pismo, że oddaje oryginał i kopie, i że to są wszystkie istniejące egzemplarze. – Było tam napisane, że prace są do zwrotu?

– Chyba nie było.

– No, widzi pani, nie było. Ja też się na tym piśmie podpisałam. Do waszej wiadomości tylko powiem, że oryginał i kopie zamknięte zostały w tajnym sejfie rektora. Rozumie pani, czym jest tajny sejf?

– Nie bardzo.

– To może chociaż pojmie pani, kim jest sam Jonek?

– Jest rektorem.

– Mało tego, jest przyjacielem samego Zdzisława Grudnia, śląskiego I sekretarza, rozumiecie?

– W takim razie pójdę do generała Ziętka albo i do samego Gierka.

– Królko, wy się kłupnijcie w łeb, z czym pójdziecie, macie tę pracę? No chyba, że macie jakiś egzemplarz dodatkowy, to od razu mówcie, bo jeszcze za was wszyscy tu zostaniemy pogrzebani.

– Czyli tylko tytuł mi pozostał z całej mojej pracy? I to taki zamotany? A mógł być jak obuchem w łeb: „Zatrucie ołowiem dzieci Szopieniec”.

Profesor Hager-Małecka nie wiedziała, co zrobić z lekarką, której praca nie zasługiwała na zaprzepaszczenie. Z jednej strony żał jej było swojej współpracownicy, z drugiej, nie mogła narazić swojej kariery. Przecież dzieci będą nadal leczone,

większość z 621 rodzin otrzymała już mieszkania. Czy to mało? Nie ma co rozdzierać szat, jeden doktorat więcej, jeden mniej.

– Niech pani teraz jedzie do domu i się prześpi.

Królowa wyszła bez słowa. Poczowała, że nogi uginają się w kolanach, a w głowie jej się kręci. Przycupnęła na ławce, ścisnęła ją w gardle. Płakała bezgłośnie, choć miała ochotę wyć. Kiedy była już blisko domu, na Kościuszki, zobaczyła witrynę sklepu z pasmanterią. Wyszła ze sklepu z torbą pełną mulin, kordonka, z zestawem igieł do haftowania, nożyczkami hafciarskimi, tamborkiem, akcesoriami do kopiowania wzoru, kawałkami lnu, tiulu, kanwą.

W domu rozpakowała kupione cuda.

– Po co to, mamo? – zapytała Justynka.

– Będę dziergać i haftować, trzeba świat upięknąć.

– Umiesz to robić?

– Jeszcze nie, ale się nauczę.

Tylko matka lekarki wiedziała, co to może oznaczać.

– Nie martw się, córeczko – powiedziała. –

Oliwa zawsze sprawiedliwa i na wierzch wypływa, nie teraz, to kiedyś, wspomnisz moje słowa.

*Marta Fox: „Moja Ołowianko, klęknij na kolanko”,
Wydawnictwo Ibis 2021.*

Marek S. Podborski

Plamienie

Widocznie nie umiałem
patrzyć
na kształt na pokuszenie
kosztowała mnie słowem
słowa wykradała siłom w akcie
bezsilności

Widocznie nie umiałem
słuchać
choć dźwięki mnie pożarły
jak korozja most
jak rzekę mgła o świtanie

Niewidocznie smakowałem
miłość
dotykając nerwów
zakończenia
spopielając żar

Powidokiem
zwęszyłem łąki las
w przeostrzenie rozkład
plam
gdzie w początkach z my słów
odtruwał się świat

Marek S. Podborski

Kąt u zjaw

Ten księżycowy kwiat
który rozchyliłem namiętne
na wskroś
i przejrzałem przez gwiazdy
skronią słonecznych pokładów

Jest osadem mych
zniczeń

Naznaczeni astralnie w rafach
mandali jeszcze w oddali
przedzieramy się w popłoch
kożuchem przestrzeni
pranicznych magów

Kamień się mieni
skrzywionym światłem
płynące
pustynie pylistomiodowe
skorpiony na nich widmowe

Marek S. Podborski

Zmierzch zboża

O jakie noce gorące a parne
i zdaje się że zima
to mit zupełnie obcy
jak zabłąkany
Odys
ze swoją skórzaną zbroją
syrenami cyklopami
i łukiem którego nikt
oprócz niego napiąć
nie zdoła

My rozumiemy
przaśnego chochoła
co z naszych ciał wyschłych
na mróz jak złoty cień
jak chrust
sznurem spętany
by się nie rozwiął
bez słowa
ciepłych tchnień
na wyczekany dźwięk

Nawy czekamy się żeńców
do rana
w szczebiotach ptactwa
szeleści nasz zgon

Edyta Kulczak

Samotne drzewo w krasie szadzi

Książka Norberta Skupniewicza wydana przez Wydawnictwo Atena w Poznaniu w 2021 roku to poemat o odchodzeniu. Odchodzeniu pogodnym, z porozumieniem z sobą samym, zgodą ze światem, akceptacją losów i prawideł przyrody, odchodzeniu z uśmiechem. To odchodzenie z wyrzeknięciem do siebie buddyjskiej mantry: om mani padme hum (oddaj cześć skarbowi w lotosie albo bardziej poetycko: bądź pozdrowiony kwiecie lotosu), która oznacza zgodę na wszechwładność losu. Jest ona przywołaniem Czenrezig - współczucia wszystkich Buddów. Ten, kto wypowiada sześć sylab mantry, ulega cudownemu uspokojeniu ich dźwiękami, wnikają one do jego wnętrza i przekształcają sześć uczuć przeszkadzających równowadze i oświeceniu człowieka. Te uczucia to: duma – wyzwalająca egoizm; zazdrość – implikująca żądzę; przywiązanie – egoistyczne pożądanie; niewiedza – rodząca uprzedzenie; skąpstwo – zamieniające się w chciwość; gniew – rodzący nienawiść. Stąd zrozumienie, że świat zaczął się za uśmiech (przez światło na wodzie, gdy woda jest symbolem początku, życia, odrodzenia, płodności, urodzaju); wnioskowaniu, że czas ucieka, ale życia nie żal. Uśmiechanie „nikłą miareczką” towarzyszy niesieniu siebie w sen nieco obok czasu, ze świadomością, że gdy los swoim pstryknie palcem / powietrze pod ptakiem utraci spoistość, a człowiek dojdzie, dowiecze się jak ocalony żołnierz za widnokrąg, za tajemnicę, do... uśmiechu świata.

Ta piękna książka to nieśpiesznie zagrana pieśń sakura, znamionująca ulotną acz cudowną naturę życia, zawierającą się w metaforze efemerycznego kwiatu wiśni. Obok wiosennego kwiatu wiśni, pojawia się jeszcze jeden kwiat – kwiat paproci. Kwiat – metafizyczny, baśniowy cud, stojący głęboko w lesie na granicy czasu i przestrzeni.

Książka przesycona niebanalnymi filozoficznymi znakami końca, mądrości życia, dedykowana jest wnuczce Julii. Książka o odchodzeniu i tajemnicach świata dla dziewczyny, która staje się kobietą, która właśnie przekracza granicę, która trzymając jeszcze w ręce kwiat wiśni, wypatruje już kwiatu paproci. W pierwszym wierszu poeta wyklada:

pod skraj ciemności
we śnie rozpierchłych złudzeń
znów kwiat paproci

myśl sklepią niebiesko
czyż niezapominajki

W ciemności, we śnie, który jest bratem śmierci, którego domeną jest cisza, uśpienie zmysłów, gdzie baśnie i złudzenia przestają istnieć, nagle (znów!) kwiat paproci. Słowianie wierzyli, że mityczny kwiat-cud należy do mediatorów, jest drogą pomiędzy światami. Można go zobaczyć o północy tuż przed punktem, gdy najdłuższy dzień ustępuje pola ciemności i nocy. Zobaczyć w postaci

złotej, lśniącej jak ogień. Kwiat ten staje się źródłem wiedzy, otwiera sferę sacrum, obszary niedostępne człowiekowi w normalnym życiu. Skarby leżą jednak pod ziemią, należą zatem do krainy zmarłych. Kto zdobędzie kwiat, posiada mądrość, lecz przez to wpisze się w zaświatowy porządek, odmienny od świata śmiertelników. Szanse na dotknięcie tajemnicy ma człowiek dobry i niewinny. W wierszu możliwe staje się to tylko we śnie, który jak marzenie projektuje człowieka lepszego, wyzbytego słabości. Według wierzeń, kwiat wymaga podjęcia niezwykłych wysiłków, układających się w scenariusz wyprawy do świata podziemnego i zetknięcia się z sacrum. Światło rozprasza bowiem ciemność.

Utwory w tomiku Skupniewicza przesycone są wrażeniem spokoju i radości, doskonałego pogodzenia. Sam uśmiech – tytułowy bohater, spontaniczny odruch ludzki – jest tutaj transparentny, harmonijnie spleciony z sferą natury człowieka. Uśmiech wynika z afirmacji świata i zgody na jego prawa, z afirmacji siebie z zaletami, wadami, pracą nad wnętrzem (dostrzegając sprzeczności / nierozumnie wąpię aby grymas ten / był skrzywił się przeciw śmiechom, s.68), z akceptacją czy choćby dostrzeganiem przeszłości, w której nawet kamień – znak trwania i tradycji – jak kamień węgielny uśmiecha się. Skradziony pozostaje żalem za kawałkiem bytu metafizycznego (kamień – bytem metafizycznym!), który nieustająco trwał, pisał historię trudów, wątpliwości, intymności miejsca. Gdzież potem rozsiać się ma proch mój – pyta podmiot tych rozważań.

Uśmiechanie się nie jest sardoniczne, kpiące, złe. Nie przeradza się w głośny śmiech czy szydercze wyśmiewanie, gdyż wyśmiewanie to zło, ustawiające negatywne konotacje wobec podmiotu – wykonawcy śmiechu. Słabość, która przybiera taki oto rodzaj zbroi i wyostrza amunicję przeciwko innej słabości jest niegodna człowieczeństwa.

Z wiersza * pamięci Jędrka:

nie wyśmiewam słabości naiwności łatwej wiary
braku miejsca przystosowania
śniadania dachu spodni

nie wyśmiewam wrażliwości
braku autorytetu i konieczności przesiewania się
przez obojętność

-
-
święcę bezradność
tę (s.67)

Uśmiechanie się może czasem wydawać się tajemnicze, gdyż podmiot jak każda jednostka ludzka ma swe sekrety, skrytości, których nie zdradzi, które, jak uważa, trzeba chronić, gdyż zrodziły się w sytuacji, gdy dał się skusić zakazanemu, dał się wyprowadzić na manowce (które i jak stąd na ubocze: i dalej, dalej od bieli wydzielanych piór z piersi orła). Zachwieją one gmachem równowagi wewnętrznej na chwilę lub przekształcą się w drażniącego „mola zakrytego” (Jan Kochanowski), który wyzwala proces oczekiwania na spokój, zbudowany paradoksalnie na zjawisku nieuchronnego następstwa kary – tu w postaci groźnego starego palca Opatrzności, Boga.

Uśmiechanie się wybrzmiewa... ciszą. Odnosi się wrażenie – kontynuując to studium uśmiechu – że uśmiech w odróżnieniu od śmiechu (który

zdecydowanie odbiera powagę i siłę) zawiera w sobie filozoficzny pierwiastek refleksji. Sprzyja medytacji, pogłębieniu mądrości, procesowi rozumienia świata i człowieka. Zwyczajnie, kto jest mędrce, kto podąża poważną drogą ku pojmowaniu tajemnicy – nie rechoce, nie pokłada się ze śmiechu, nie śmieje się głośno, bo to przynależy sytuacji zabawy, bez troski, infantylizmu, głupkowości.

żółtym półkolem słońce na widnokręgu –
na progu – przycupnęło nieme
ku niemu okręt żagle wypiął
wśród ładu oracz w porę roku swą ziemię wplata
pastuch o runo nieba powiększa swoje stado

tocząc kręgi coraz szerszej fali
przewróć ktoś zamienił w toń
-
uwadze mej po-
zostawił perypetie białych skrzydeł
(* uśmiecham się, s.31)

Kontemplacja przyrody – współistnienie naturalne ze światem kosmosu staje się głównym źródłem pogody w człowieku, czyli dziania się dobra. A to służy rozkwitowi, spełnieniu, dojrzałości, zbliżaniu się do sedna, do istoty człowieczeństwa. Uśmiech towarzyszy przyglądaniu się drzewom, wodzie, chmurom, nasłuchiowaniu kropli deszczu. Rozchmurza wiosnę i wywołuje z ziemi mleczce. Uśmiech rodzi się ze słońcem i na rozstaju ze słońcem gaśnie. (s. 60). Na szyderstwo zasługuje obraz przeciwny (wtedy od śmiechu robi się głośno), gdy człowiek celebrytuje istnienie nie jako zmierzanie ku głębi poznania, wtopienie się w naturalny cykl pór ustalonych przez naturę, ale trwoni swoje ludzkie wartości, pojmując fałszywie rozwój jako zawłaszczanie coraz większych powierzchni. Potęga grosza – centa – pfenniga / o tysiąc czynów sprawniejsza wypcha go w tę ludzką zwykłość, w karlenie ducha, w raj wspaniały pisany (s. 38). Oby nie być głuchym na wołanie tajemnic swojego karmanu! Karman to według filozofii indyjskiej, akt sankcjonujący odwieczne prawo moralne, które wiąże działania człowieka z ich skutkami w przyszłości. W ujęciu tej filozofii, czyn nacechowany jest etycznie. Gdy jednostka realizuje zalecenia moralne i normę, gromadzi zasługi niosące szczęście doczesne i pomyślność po śmierci. Gdy zaś im się sprzeniewierza, popętnia przewinę (mową, umysłem, ciałem) – to determinuje metafizycznie przyszłe losy jego świata. Los ten będzie domagać się poniesienia odpowiedzialności za własne uczynki.

Nie sposób w jednym wywodzie rozwinąć wszystkie wątki książki – księgi poetyckiej Norberta Skupniewicza, bo tu potrafi na długie rozmyślanie zatrzymać jeden wiersz. Jest jednak wyraźnie zaznaczająca się, wybijająca się spoza słów [słowa! – także w nich łatwość piany/ nijakie sztuczną pachną różą, s. 42] postawa ludzka, pokora. Pokora wobec metafizycznych sił. Pokora, która nie jest słabością człowieka, a siłą warunkującą jego prawdziwe człowieczeństwo, które w myśl filozofii autora polega na wiecznym, wiecznym rozwoju... ducha, prawdy, dobra, sprawiedliwości – świadomości życia, które jest boskim darem istnienia. Które kroplę zamienia w ocean. Krok po kroku. Choć może rezultat nie dorówna przebytem trudom. Może się okazać, że umrzemy głębsi niż się narodziliśmy – gdy zmarnujemy życie? Gdy stanemy wobec skomplikowania i nieskończonej zło-

ności świata? Gdy powiemy pewnie: STĄD ROZPĘDZIŁ SIĘ WSZECHŚWIAT... (s.53)

zanim bezdroża zewrą się
czyż walec ciągnąc potoczny
doznam pewności skrzydeł
aby w liść dnia lipcowego
wzbiła się zjawia motyla
(* wiatr mięknie, s.46)

Sens i sedno filozofii życia uwewnętrznionej przez podmiot liryczny tego zbioru, odnaleźć można i w kręgu klasycznej filozofii europejskiej, i w kręgu religii chrześcijańskiej, i w kręgu religijnych kontemplacji Wschodu. Najtrafniej wyraża je wiersz, który zacytuję w całości, który wystarczy za wszystkie analizy, interpretacje, poszukiwania i odniesienia do kontekstów różnorodnych:

*
uśmiecham się
bo jakże inaczej – i dzisiejszy dzień
dano mi przeżyć ćwierćkrotnie

nic dobre mądre niezwykle
też niezbyt odległe
nie zostało mi darowane

swój ryż
zjadłem (s. 59)

Przeżyć dzień zaledwie ćwierćkrotnie i być szczęśliwym – to odnaleźć sens istnienia.

W wykładnię ułatwiającą zrozumienie wywodów poetycko-refleksyjnych Norbert Skupniewicz zaangażował także język. Jego wiersz nie obawia się ekspresywnych poetyckich neologizmów, licznych powtórzeń czy pauz oznaczających ciszę (piszę o rzeczach, które najbardziej zwróciły moją uwagę). Powtórzenia są tu mantrą, która litanijsko pieczętuje każde rozmyślanie, a cisza – służy zastanowieniu i kontemplacji, zatrzymuje duchowo przy Najważniejszym.

*Norbert Skupniewicz: „Jeszcze się uśmiecham”,
Wyd. ATENA, Poznań 2021.*

Krystyna Wojciech-Ratajczak

Przedwiośnie

W błękitnej nawie
zieleń sosny rozkwitła
Smaragdem odbija się
w Twoich oczach
Cisza taka rzadka przypadłość
Słychać pękanie szyszek
Na palczastej dłoni gałązki
odcisnął ślad Mazurek
Rozsiewa tu i ówdzie nasiona
W prześwicie znów
ta tafla ultramaryny
i trzepot skrzydełek
Cytrynowa żółć motyla
spływa
na ciepły dywan mchu

Teresa Tomsia

TRI, trzecia z kolei książka Szymona Kantorskiego, w której autor punktuje złożoność ludzkiej natury pragnącej łatwych odurzeń, lecz także duchowego spoiwa, owej „trójdzielności” jako możliwości wyboru wielu dróg w poszukiwaniu sacrum. Doznania i wrażenia wzięte z różnych obszarów doświadczeń, kontaktu z ludźmi i sztuką, historią, owym „cywilizowanym światem”, często osobnym, za płótnem zamkniętych osiedli ukazane zostały czytelnikowi z jednej strony za pomocą krótkich fraz, błysków, surowych zestawień obrazów, z drugiej zamierzonych stylizacji. Trudno zebrać w całość to wszystko, co przeżywa bohater wierszy – i o to chyba chodzi w tej książce, gdzie krzyżują się symbole dawnych i nowych idei, a działanie w pośpiechu, w wyrwaniu się z zastanych form egzystencji i koniecznych relacji, jakim trudno podołać, nie prowadzi do upragnionego celu. Przeciwwagą samotności człowieka wśród innych staje się tu zabawa z chłopcem na wózku, a ironia wiersza Apartament/owiec niesie sprzeciw wobec systemowego modelowania ludzi i ich życia. Konsekwentna, zwarta forma zapisu – z użyciem równoważników zdań i częstych enumeracji ujawnia dążenie do wewnętrznego ładu, próbę okiełznania też własnych drgań i niepokojów, dotykania tajemnicy bytowania, co wydaje się szczególnie cenne. To poezja godnej pokory, otwarta na „jakieś niejasne przeczucie”.



Szymon Kantorski: *TRI*, wyd. Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, red. Maciej Melecki Mikołów 2021.

Liczby pierwsze

ogniska po działkach, inne zapalne miejsca
pocięta trawa, roje pustych nasion z za płótno
niehumanitarne zawadzenie wszystkiego, niczego
prócz liczb podzielnych jedynie przez siebie
które nas karmią, te są zawsze pierwsze

Celina Lesiewicz

Ścieżki i zaułki

1 maja 2022, niedziela

Słucham audycji „Lepiej późno niż wcale” w Radiu TOK FM o tematyce problemów ludzi ze środowiska LGBT a jednocześnie często uważnie zapoznają się z opiniami prezentowanymi przez Radio MARYJA. Dwie skrajności. Pytanie: gdzie leży prawda? Może gdzieś po środku? Co jest normalne, a co już odchyleniem od normy, perwersją, zboczeniem? Akurat dzisiaj w audycji LGBT (Lej Gorzałę Bo Trzeźwieję – jak to ironicznie skomentowała pewna pani, bo my, zwykli ludzie, trochę już po prostu mamy dość tej propagandy zarówno z jednej jak i z drugiej strony) mówi się nam, że mamy używać zaimków: „poszłość”, „zrobiłość” wobec osób, które nie utożsamiają się z żadną płcią. Czyli: Kim są? Kim są ci ludzie? Co to za dziwaczne zaimki? Co to za idiotyczne pomysły, by dwóch homoseksualistów wychowywało dziecko, przecież dziecko musi mieć matkę i ojca – Maryja i święty Józef, plemnik – komórka jajowa!!! A z drugiej strony Kościół zdaje się nie zauważać tego różowego trójkątka naszywanego na pasiaki właśnie homoseksualistom w Auschwitz czy akcji SB „Hiacynt”. Gdzie jest prawda? Może potrzebny jest rozsądny kompromis? Kwestia tożsamości: rozumiem ją, bo mimo wieloletniej emigracji w Niemczech, Niemki się ze mnie nie zrobiło, bardzo cierpiałam z tego powodu, czuję się i jestem Polką, chłopiec, który czuje się dziewczynką i odwrotnie to transpłciowość, ale czy normalna jest tak radykalna operacja jak operacja zmiany płci? A z drugiej strony nawet najostrejsze przeszczepy organów są dozwolone i akceptowane przez Kościół. Kto rozwiąże te dylematy? Te dylematy, które sprawiają, że ma się wrażenie, że cały świat już zwariował. Jest też taka prawda, że dobrze byłoby gdyby Kościół z taką samą troską sprawdzał, czy obywatele płacą podatki, jak zaglądał im do sypialni. Wiadomo, co mówi o „tych” sprawach Katechizm. Ale Katechizm to też tylko książka, może trzeba go napisać na nowo? Czy znajdzie się taki odważny? Kiedyś audycja LGBT była późno w nocy – „nikt się nami nie interesował” – mówią dziennikarze. Teraz jest wróg jasno określony i zwalcza się „ideologię”. Tylko, że ta ideologia to Ludzie. Tylu wybitnych, twórczych Ludzi. Ten, kto rozwiąże ten wcale nie marginalny problem powinien otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla.

4 maja 2022, środa

Jadę autobusem do dominikanów. W środku Ukrainki, które mówią do siebie swoim językiem. Już zdążyliśmy przywyknąć do tego widoku, do tej obcej a jednak podobnej mowy. Pewna Pani podchodzi, wręcza kobietom święty obrazek: „JEZU UFAM TOBIE”, zyczliwie się uśmiechając. Ukrainki są trochę zaskoczone, ale podarunek przyjmują z radością. Tak. Daliśmy tym ludziom dach nad głową i wszelką pomoc. Teraz jest czas zwykłych, ciepłych, ludzkich gestów, takich jak tej pani, którą potem spotkałam na mszy świętej w kościele.

Jerzy Grupiński

Śniąc o sprawiedliwym życiu

"w dziwnym świecie / dziwni ludzie / mówią dziwne rzeczy" - tymi słowami zaprasza nas Andrzej Dębowski do swojej książki pt. "...na ziemi jestem chwilę...". Bo w „cudownym stuleciu”, w którym przyszło nam żyć, niełatwo odnaleźć siebie i swój głos. Tak ...nie pierwsi i nie ostatni zadajemy sobie pytanie o sens bycia jednostki i naszego świata. I autor wierszy oczywiście o tym wie, stąd doświadczanie rzeczywistości i słowa mają tu swój aspekt społeczny, nie tylko osobniczy, indywidualny. Egotyzm, przysłowiowy egoizm autorski ustępują więc miejsca doświadczeniu, pamięci społecznej, środowiskowej. To cenne wersy książki poszerzające krąg odczuć obrazów pamięci. "Poeta pamięta" mówiąc słowami Czesława Miłosza, ale także przeczuwa, wie obrazy, które (w perspektywie m.in. krwawych dni na Ukrainie) zdarzają się naprawdę. Bo jakże inaczej czytamy teraz wiersz pt. "Skrzenie"

*Zło nadchodzi zniecała
niebo nabiera wtedy koloru
zgnień purpury.
trudno określić nawet,
jaka to pora dnia,
tygodnia, miesiąca, roku
[...]
Ta ziemia
pochłonęła całą krew świata
wysłała ją w krwioobieg
liści, drzew i traw
Dobry sen dobiega końca,
budzimy się*

Ujmuje otwartość, szczerść tych wersów, zwłaszcza wtedy, gdy autor wprost mówi nam o pozbawieniu prawa do wyboru, o tym, że "przyjęto nas do wiadomości", że pozostało „tylko przyzwyczajenie, nawyk, obowiązek”. Przysłowiowy niepokój metafizyczny ma realny wymiar, pytania i odpowiedzi dotyczą konkretnych sytuacji i osób, co czyni książkę bardziej wiarygodną, bo strofy mówią ustami realnych osób, opowiadają czynny i myślny nie tylko autorskie. Jawią się więc nam przed oczami postacie z dzieciństwa, z rodzinnych historii, osoby z twórczego autorskiego środowiska. Adam Szyper w historii swego tragicznego dzieciństwa, Wojciech Siemion - bosy chłopiec pochylony nad książką. Jest i "Moja mała lampka nadziei" dedykowana Tadeuszowi Kwiatkowskiemu - Cugowowi

*Wiesz, Tadzio
wczoraj oglądałem stare fotografie.
sentymentalna łza
zakręciła się w oku*

Co też powyprawiało się na tym świecie?

Andrzej Dębowski nie unika pytań wprost, niby naiwnych, kolokwialnych, ale przecież tak trudnych... Na okładce książki informacja o autorze:

Poeta. krytyk literacki, publicysta, eseista, dziennikarz i wydawca. Autor szkiców i esejów krytycznoliterackich. Urodził się w 1961 r. w Zelowie, gdzie mieszka do dzisiaj. Założyciel i redaktor

naczelny ogólnopolskiego
miesięcznika "Gazeta Kultu-
ralna".

PROTOKÓŁ
KULTURALNY
Nr 83/2023

Przytaczam tę notę (mimo że osoba przecież nieobca środowisku i czytelnikom), bo znamienne to znaczenie: urodził się ...gdzie mieszka do dzisiaj. Także i omawiana książka "...na ziemi jestem chwilę ..." wyraźnie zaznacza autorski genius loci. Krąg rodziny, środowisko, lokalny pejzaż stanowią znaczące źródło inspiracji Andrzeja Dębowskiego. One też odpowiedzieć próbują na podstawowe pytania człowieka - pisarza, na egzystencjonalną szamotaninę.

Pozostała pamięć.

*Czułość dobrego ojca
okazywała się najważniejsza
i miała ludzkie oblicze.*

Pamiętam

*jak siadał na swoim starym krześle,
spokojny jak zawsze
jak wtedy, gdy żył
i kiedy pytał
czy stać mnie na gest pokory [...]*

Czasami dodawał

lubimy robić z siebie widowisko

Śniąc o sprawiedliwym życiu (" Nasza obecność ")

Czułe, pięknie napisane "Odchodzenie dedykowane babci Anastazji..."

Pyta więc Andrzej Dębowski, "kim byli ludzie, którym zawdzięczamy rysy twarzy / skąd się wzięły... ("Kamienie życia") Ekshumowane groby daleko na Wschodzie, wspomnienia przodków, obrazy pamięci. mogiły. Nagłe spotkanie przy saturatorze i ostrzeżenie, groźba "Uciekaj pan, uciekaj !" usłyszane gdzieś na Kresach. Bo historia to pamięć, historia to dzisiaj... Brak grobu to wyrwa w świadomości, akt ubytek nie do odrobienia, nie do wypełnienia ("Bez wyjścia ")

Książka Andrzeja Dębowskiego - "...na ziemi jestem chwilę..." podejmuje kardynalne pytania o los, sens bycia jednostki, o drogi świadomości społeczeństwa, narodu. Mimo pesymistycznych, rozsianych w wierszach aktów beznadziei, pytań bez odpowiedzi, odbieram ten tomik poezji jako przesłanie jasne. Na osobną uwagę zasługuje język wierszy- otwarty, komunikatywny, pozbawiony wieszczkiej kokieterii, mimo podjęcia kardynalnego rozrachunku z samym sobą, z historią...

*Andrzej Dębowski: "... na ziemi jestem chwilę..."
Wydawnictwo Autorskie, Żelów 2021.*

Mariola Kalicka

* * *

W rzeźbie uskrzydla mnie możliwość nieustającej zabawy, gry i budowania. Jest w niej nieuświadomiony powrót do okresu dzieciństwa, są odbudowywane tamte doznania i myślny, które jakimś cudem nie starzeją się. Rzeźbą można pogrześcić, pożartować i pewnie pomodlić się. To są niekończące się możliwości.

Czasami ludzie zawodzą, uciekam wtedy do pracowni. Tam wypracowuję sobie nieprzemijającego przyjaciela na dobre i złe dni. Przyjaciel o każdej wysnionnej formie, o wielu zapachach, twardościach, kolorach, o szorstkościach... Chce się żyć...

Bogna Wiczyńska

* * *

z każdym dniem coraz
bardziej przypominam człowieka

a od pewnego czasu oddycham jak człowiek
i czuję jak człowiek
nawet śpię na leżąco i przez sen mówię
ludzkim głosem
wszyscy się dziwią a ty nic nie mówisz

lecz dziś zaczęły wyrastać mi ludzkie stopy
więc krzyknęłam i zdumiona
dotknęłam przekrwionych palców:
- są!

a ty otwarłeś szeroko oczy
i bezradnie spojrzawsz
na okrągłe kolana pięty wystające kostki

i jakby już wszystko było przesądzone
zapytałeś:
- więc dokąd teraz
pobiegiesz?

Andrzej Sikorski

Pani Jadzia

w południową godzinę ciągnie wózek z
pobieranym na targu
wszystko w foliówkach jak jej krok
w kałużach tyle miejsca że

kiedy wyprzedzam z: - dzień dobry
śmieje się głośno: - jaki tam dobry, lepszy -
zobacz!
przystaje
zdejmuje rzemień przybity do krótkiego
dyszla
klaszcze i z dłoni wypuszcza wróbelka

Maria Ciężela

samotność

tęskniłam za nią
a ona przyszła
dotknęła mnie

czuję jej bliskość
wracam do domu
a ona szepcze do ucha

jesteś
nie jesteś
sama

rozmowy telefony spotkania
cele plany marzenia
wszystko miesza się splata
w wielkim wirze

a ona
zarzuca muślinową ciszę
i szepcze
jestem z tobą

przyjdzie czas
a skaleczy cię ostrzem

Magdalena Jankowska

Wreszcie się pojawiły

witamy prezydentów i prezydentki
naukowców i naukowczynie adiunktów
i adiunktki magistrów i magistry
dramaturgów i dramaturżki chirurgów
i chirurgki pedagogów i pedagożki
oraz pozostałych gości i gościnie

chciałyśmy żeńskich form

jesteśmy za



Maria Magdalena Pocgaj

Dziennik 2018 (fragment)

25 lutego 2018

Niedziela. Dwadzieścia pięć stopni mrozu. Za oknem rozświetlony śnieg i jasny błękit. Do śniadaniowej paszy słuchamy „Zimy” Vivaldiego w dwóch częściach: Allegro non molto i subtelnego, cudownego Largo. Ależ to brzmi tutaj, zimą, w Laponii! Wiatraczek rozprowadza po kuchni ciepło, w kościach czuje się słodkie rozleniwienie.

Skusił mnie dzisiaj sarni szlak. Ruszyłam więc śladem kopytek. Musiałam się porządnie schylać, a nawet przemieszczać w kucki pod przygiętymi konarami. Sarny z wdziękiem przeskakiwały te przeszkody, mnie spadały za kołnierz fury śniegu z potrącanych gałęzi. Ale udało mi się zrobić kilka zdjęć, nawet reniferom. Chciałam też złowić słońce, które powoli skrywało się za Porjusberget. Było wprost bajecznie! Na śnieżnobiałych płachtach migocącego puchu kładły się błękitne cienie. Z drzew zwisały białe, ażurowe draperie, przez które prześwitywało „czerwone słońeczko”. Całości dopełniała żółtej i różowej barwy poświata. W miarę jak ubywało światła słonecznego, na całą okolicę nachodził cień. Jakby ktoś zaciągał ogromną storę. Zwykle się tego nie zauważa, tylko stwierdza: o, ściemniło się.

Anta nie odpuścił wyprawy do starego lasu. Przedtem jednak zapytał: - Gdzieś ty się wczoraj podziewała? Powinnaś być z nami - I koniec tematu.

Wyszliśmy po południu, w kierunku północnego cypla Lapwaswerie. Powietrze krystaliczne, mróz tęgi. Anta dał mi grube rękawice o jednym palcu, prawie jak bokserskie, dzięki czemu wreszcie nie marzły mi palce. Gaavalohke szedł z nami. W zeszłym tygodniu odpadł mu róg i teraz nie mógł prosto utrzymać głowy. Miejsce po rogu miało odstonięte i zdaniem Anty, skóra go tam swędziła. Dlatego ocierał się o pnie i bódł wystające ze śniegu krzaczkę, jakby walczył z wymagowanym przeciwnikiem.

Szłam za Antą z nartami na ramieniu, bo na ubitym, śliskim śniegu obawiałam się jechać. Renifer trzymał się z tyłu, zamykając nasze trzyosobowe stado. W końcu przypięłam deski i skupiłam się na wydłużonym kroku. Szło mi całkiem dobrze. Nagle poczułam, że coś mnie hamuje i nie mogę przesunąć nart. A to idący za mną Gaavalohke wszedł racicami na ich końce i pchał się dalej, jak taran, na mnie! Kątem oka dostrzegłam, jak pod pachę wjeżdża mi wielki róg. Trwało to sekundę albo dwie i błyskawicznie rymnęłam jak długa na twardą, białą powierzchnię. Tuż przy twarzy zobaczyłam łeb, bo ren zaczął jedynym rogiem o suwak mojej kurtki. Chcąc się uwolnić z suwaka, tarzał mnie to w lewo, to w prawo. Cudem udało mi się odpiąć jedną nartę. Przerazona wołałam Antę na pomoc. Trochę trwało, nim dojechał i wyswobodził mnie z rena. Odpięłam drugą deskę i wstałam oszołomiona. O dziwo, nic mnie nie bolało, tylko suwak był zepsuty. Z furią ruszyłam do przodu, dzwigając narty pod pachą. Anta stwierdził, że z daleka wyglądało to tak, jakby ren wziął mnie na rogi. Wcale nie było mi do śmiechu. Pilnowałam tylko, czy aby „wróg” nie nadciąga od tyłu.

W końcu doszliśmy do starego lasu. Anta pocieszył mnie, że jest tu mnóstwo porostów, więc renifer da mi spokój. Kiedy żeruje, nic dla niego nie istnieje. Weszliśmy między skarłate świerki. Śnieg maskował nierówności terenu, różne wykroty i jamy. Bez nart nie dałoby się chodzić, na deskach, to co innego. Słońce wysyłało jeszcze ostatnie promienie, mróz szczypał jak najęty. Ależ było cudnie w tym najbielszym ze światów, w tej mroźnej nirwanie. Wdychałam lodowate powietrze, żałując tylko, że nie mam przy sobie aparatu. Kadry były tak zjawiskowe, że zapomniałam o jednorozcu.

Nagle zobaczyłam go i to całkiem blisko. Prędko odpiąć narty i zwiać na butach, tak będzie szybciej, przemknęło mi przez głowę. Odpięłam jedną i noga wpadła mi w śnieg aż po biodro. Nie mogłam się ruszyć. Zaraz mnie dźgnie, pomyślałam. Renifer stał i mi się przyglądał. Ciekawe, co zamierzał. Na szczęście Anta pomógł mi wyleźć na powierzchnię, więc szybko przypięłam nartę i odjechałam jak najdalej od zwierza.

Mróz się wzmaczał. Anta zarządził odwrót, mówiąc, że musimy kierować się tam, gdzie znika słońce. Przez gęstwinę gałęzi widziałam jego plecy i zad renifera. Coś mi podszeptało, że nie zawadzi bardziej się asekurować. Zwolniłam więc tempo i dystans między Antą a mną znacznie się powiększył. Renifer był mniej więcej po środku. Gdy odwracał ku mnie łeb, przezornie chowałam się za świerkami. Nie przyszło mi do głowy, że Anta też będzie chciał mnie mieć na oku, żebym przypadkiem gdzieś nie wpadła. Widział, że zostaję w tyle, ale nie przypuszczał, że to z obawy przed rogaczem. Sądził, że kondycyjnie nie dam rady. Zawrócił w moją stronę, żeby sprawdzić, co i jak. Ren także, więc i ja w te pędy do tyłu. Wówczas usłyszałam coś, czego nigdy bym się tu nie spodziewała. W nieskalanej ciszy Anta zaklął po polsku i to na cały głos. Żeby choć po szwedzku, albo po niemiecku... Potem zapytał, dlaczego się cofam i spowalniając powrót. A we mnie aż wrzało, choć nie mogłam wydusić ani słowa. Anta nawijał dalej, że robi się naprawdę zimno i niebezpiecznie, a trzeba jeszcze rena odprowadzić do zagrody. Oświadczył, że robi to sam, a ja mam iść prosto do domu.

Bez słowa ruszyłam z miejsca. Byłam tak wkurzona, że zignorowałam dwa reny, które akurat wyszły z lasu i zatrzymały się. Gaavalohke do nich dołączył i razem gdzieś przepadli. Ale tego nie mogłam widzieć, bo prulałam naprzód jak torpeda, tylko śmigają kijki. Nie wiedziałam też, że Anta idzie za mną. Słyszałam co prawda świst nart, ale równie dobrze mógł to być omam, bo krew huczała mi w skroniach.

Ochłonełam dopiero przed domem. W kuchni poczułam, jak coś we mnie pęka. Odezwwały się konsekwencje dzisiejszej corridy: ból przy oddychaniu i skręcaniu tułowiem. No tak, odbiłam sobie żebra, osaczyły mnie czarne myśli. Stałam i bezgłośnie płakałam. Anta pomógł mi zdjąć uwalane śniegiem buty, ochraniacze, skarpety. Założył futrzaki na moje zmęczone nogi i polecił, bym usiadła. W kuchni było lodowato i ciemno. Ale już po paru chwilach paliła się świeca, w piecu buzował ogień, w garnku topił się śnieg. Na dwóch talerzach pojawiły się pajdy posmarowanego chleba. Zdjęłam kurtkę przez głowę i próbowałam rozewrzeć ten cholerny zamek, ząbek po ząbku.

Anna Landzwójcak

Ruda zemsta

Nad polami snuł się zmierzch, na zaoraną ziemię spadały drobne płatki śniegu. Białe płatki krótką chwilę stygły na czarnej sierści kotki, pozostawiając mokre krople. Tosia stanęła jak wryta przed wystającą skibą gleby, która z kociej perspektywy miała całkiem pokaźne rozmiary.

- Ki czort? – miauknęła zaciekawiona, ale i lekko zaniepokojona. Z szadzi opadającej na ziemię wyłoniła się biała postać.

Kotka przyjrzała się, czy to aby nie złudzenie. Ale nie! Kształt zbliżał się i rósł w kocich oczach. W zamglonej ciszy zarysowała się postać Cełki, uciążliwej sąsiadki, której już nie było pośród wiejskiej społeczności od kilku lat. Zgarbiona, w kwiecistym fartuchu. A z kieszeni fartucha wydobyło się głośnie miauknięcie. Po chwili uważny wzrok kotki, którą zaskoczenie niemal wbiło w ziemię, wypatrzył rudy pyszczek i tak samo ubarwione uszy.

- Co to jest? Co to za rude paskudztwo? – czarna kotka Tosia wydawała z siebie pełne obrzydzenia parsknięcia.

Postać jako żywo przypominająca Cełkę rozplynęła się w zimowym krajobrazie, jednak to „coś” pozostało. Po wnikliwej obserwacji, „coś” okazało się być małym rudym kotkiem. Tosia nie zamierzała sobie tym zaprzętać kocich myśli, odwróciła się i dostojnym krokiem udała się w kierunku domu. Lecz gdy tylko otwartą się drzwi, mały rudy kotek wślizgnął się szybko za Tosią. Pobiegł szybko do dalszej części domu i chwilę było tak, jakby go nie było. Ale był! Mały, rudy i do tego hałaśliwy!

Zachowywał się, jakby był u siebie, co w istocie wkrótce było faktem. Nikt nie miał dość determinacji w sobie, by biedne stworzonko wyrzucić na zimowe podwórze. Zresztą, znamy kocia naturę i wiemy, że nie odszedłby zbyt daleko i z pewnością wślizgnąłby się ponownie do domu, gdzie ciepło i na ogół pełna miska. A zatem szybko się zadomowił i otrzymał niewyszukane imię, Rudy. Tosi jednak nikt o tym nie uprzedził. A przecież należała się jej choćby lakoniczna informacja, bo w końcu to był jej dom! Niezmiennie, od ponad szesnastu lat – jej! Spotykała Rudego często, zbyt często, obrzucała go pełnym pogardy bursztynowym spojrzeniem. Rudy odwzajemniał się zadziornym zdziwieniem żółto połyskujących oczu.

Z Tosią znamy się już tak długo, że potrafisz czytać z jej spojrzenia i rozumieć delikatne miauknięcia, bo pełna gracji kotka tylko na takie sobie pozwala. Mam nawet wrażenie, że czytam w jej myślach. Aż strach pomyśleć, że ona w moich też. Mówiąc wprost, sytuacja była dla niej trudna, bo powoli acz zdecydowanie Rudy stawał się równie domownikiem. Z czasem Tosia odgrodziła się od niego emocjonalnie, ale fizycznie było to znacznie trudniejsze.

Najtrudniej było przy wspólnej misce z jedzeniem. Czarna kotka z wrodzonym dostojstwem pochylała się nad miską, a tu nagle rude uszy przed oczami. Siada i patrzy z obrzydzeniem.

- Najedz się łakomczuchu, w końcu będziesz się toczył, a nie chodził!

Ale Rudy, niezrażony uwagą, zawsze kończy jedzenie do ostatniego kęsa.

Wreszcie zwołano kocia naradę, prawdopodobnie z inicjatywy kotki.

Przysiadły oba koty na posadzce w kuchni, w bezpiecznej od siebie odległości. Patrzą sobie w oczy i żadne się nie odzywa, żadne też nie przystępuje do ataku. Posiedziały, podumały i rozeszły się w różnych kierunkach.

Kociej przyjaźni próżno oczekiwać, ale może chociaż zawieszenie broni?

Nic z tego! Rudy próbuje zawłaszczyć terytorium Tosi w sposób perfidny i podstępny. Układa się w kącie, który dotąd zajmowała, bezczelnie pcha się do miski jako pierwszy, a nawet wybrał się na strych, na którym kotka czasem lubiła polować. Obwąchał strychowe zakamarki, nie znalazłszy niczego, co by go zaintrygowało, wrócił jak nie-pyszny.

- A widzisz! Nie musisz wszędzie wsadzać nosa, ciekawski agresorze! – Tosia użyła słownictwa, które Rudy puścił mimo uszu.

Doprawdy, trudno się razem mieszka. Rudy wydaje się małym, bezbronnym kotkiem, ale perfidnie się zmienia w pobliżu Tosi. Patrzy spod rudego czoła i to nie jest dobre spojrzenie. Prycha, a nawet szczyrzy zęby. Kłóci się z czarną kotką jak... jak... jak Cełka. Nawet odchodzi lekko zgarbiony, gdy już wyczerpie wszystkie argumenty. Podobieństwo jest uderzające, ale jak, skąd, dlaczego? Tego nie mogliśmy ustalić.

Za to Tośka wiedziała doskonale! Przecież widziała, jak Rudy wyskakuje z celkowego fartucha!

Konrad Koper

Słowa...

Najpierw są w krainie niebytu.

Potem mają zwiastunów.

Następnie żyją i rządzą.

Później są tylko półżywym wspomnieniem

W końcu umierają powtórnie.

Józef Zdunek

mówił

mówił w poczuciu
nie do końca spełnionego
obowiązku
że mogło być lepiej
ale zdanie innych
było zawsze na nie
jak piłka o ścianę
bez rezultatu

tłumaczył że to nie tak
że to nie jego sprawa
a teraz że nie jego wina

Igor Frender

rodzeństwo

pozytyw
tak do negatywu
jest podobny

jak ty do mnie

chodzić się uczyć
a ty już jeździsz na rowerze
ja ledwo mówię
a ty już płynnie czytasz

rower i książki dostanę od ciebie
teraz oboje siedzimy w szafie

mamy takie same dłonie
dołączki w policzkach
słyszemy kroki

czy ktoś nas szuka?

ku miłości

na policzku rumieniec
duże oczy i wiśniowe usta
siedzisz w fotelu z otwartą książką
ja przy stole piszę wiersz

trochę mi nie idzie
o twojej urodzie nie potrafię napisać

lecz dokładnie widzę że przy tobie
słowo znaczy słowo
wiara staje się faktem
i niech istnieje niech pozostanie
ta niezachwiana
i stabilna postawa przedmiotu
na którym siedzisz
ta nieskończona chwila
– pstryk

Igor Frender (Wojciechowski) z wykształcenia animator społeczno-kulturalny, doktor nauk medycznych. Z zamilowania powieściopisarz, filmowiec amator. Autor pierwszej polskiej powieści z nurtu Giallo pt. „Człowiek Jatka”. W 2022 roku pojawiła się jego książka poetycka "Idziemy, jest stromo" Od wielu lat aktywista i promotor kultury niezależnej. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Grupy Literacyjnej „Na Krechę”.

Anna Łozowska-Patynowska

Między apoteozą świata a ludzką rezygnacją

W otoczeniu kuszącego i tworzącego odpowiedni nastrój zapachu kawy, melancholijnych odczuć człowieka rozciąga się przestrzeń rozważań Kosmali dotycząca „najciemniej strony ludzkiej udręki”. Autorkę *Złudy* nie interesuje tylko i wyłącznie człowiek i jego reakcje na bodźce zewnętrzne, ale także kompensacja jego bólu, stopniowo ujawniającego się przed czytelnikiem.

Filozoficzno-literacka kreacja Irminy Kosmali jest właściwą strategią kompozycyjną *Złudy*. Iluzje rzeczywistości, antynomie, paradoksy, niespójności i dysjunkcje to podstawowe jej składniki. Taki plan budowy mini-powieści zakłada nie tylko dwuwartościowość świata, co znajduje swoje częściowe uzasadnienie w przywołanych ideach platońskich, ale także eksponuje enigmatyczność ludzkiego istnienia, nieprzekładalnego na słowa, wartościowanego przez nas samych i otoczenie w zupełnie inny sposób. Kosmala twierdzi, że wszystko może się jedynie zdawać, bo prawdy ostateczne, choć istnieją, to trwają w idealnym, nieosiągalnym dla człowieka stanie objawienia. Powieść jest więc osnuta formułą tajemniczości, choć świat, który skonstruowała Kosmala, zdaje się być do trzewi realny. To dlatego jego konstrukcja opiera się równolegle na nietzscheańskiej filozofii podejrzliwości.

Pytania o status świata i natury ludzkiej wybrzmiewają w strukturze osobowościowej bohaterki tekstu, Ewy. Na pierwszy rzut oka nie wiemy, czego ona poszukuje, dlaczego jest osobą niezmiennie cierpiącą, po co „zmyśla” swój ból, dlaczego tak łatwo ulega pragnieniom, a odsuwa od siebie zwyczajne i prawdziwe trwanie. Jej byt „zszywany słowami”, a właściwie poszatkwany, popruty nimi, staje się drenażem ułatwiającym zrozumieć kruchość ludzkiej natury, wiotkość jej odczuwania, które kieruje człowiekiem, nawet wbrew rozsądkowi. Kiedy pytam dlaczego, po co, czemu tak nielogicznie plecie się los ludzki, Irmina Kosmala ujawnia przed nami odpowiedź, że człowiek nie jest sumą działań prostych i iście matematycznych, nie jest kostką do gry o skończonej liczbie oczek możliwych do wyrzucenia. Człowiek to wiotka permutacja tych cyfr, wzniosłe stworzenie poszukujące, skłonne do błędzenia, ale i do poświęcenia dla wiary w coś, w co uwierzył, choć mogło być to nieprawdziwe.

Kosmala porusza problem zarówno fikcyjnego istnienia w świecie, co ma w powieści wymiar metaforyczny, jak i w sposób bezpośredni dotyka problemu zażywania środków odurzających, które w świecie postrzeganym jako nierzeczywisty, rodzą istnienie faktycznie fikcyjne, o czym świadczą słowa jednego z bohaterów, Apejrona do Ewy: „A jeśli nie jesteś prawdziwa, to nie istniejesz. Zapamiętaj, proszę, moją myśl”. Ta dwupoziomowość kreacji otrzymuje też trzeci wymiar – warstwę słowną składającą się na tekst literacki, czyli kreację. *Złuda* jest kamuflażem wielowarstwowości tekstualnej, a zarazem mentalnej świata Kosmali. I tu pojawia

się zasadnicze pytanie o prawdziwość, czyli niefalsyfikowalność, niepodrabialność istnienia człowieka w świecie, w którym on istnieje tui teraz. Co to oznacza w konsekwencji dla autorki powieści? Skonfrontować to należy zarówno z jaskinią platońską i jej ilustracją prawdziwego bytu, o którym wspomina Kosmala na samym początku, jak i z założeniami nietzscheańskimi, które, paradoksalnie, stoją z nimi w opozycji. Nietzsche to „deiluzjonista XX wieku”, który wskazał, że nie istnieje inna, lepsza rzeczywistość, lecz tylko ta tu i teraz, a reszta to „złudzenie”. Kosmala spina tę ilustrację architektoniczną ramą kościoła, do którego przybywa bohaterka w celu wypowiedzenia swoich wyrzutów sumienia. Współczesny kościół z powieści jest tak samo iluzyjny, jak te z czasów barokowych, pełne polichromii i załamania światła, które potęgują majestat, również potęgę Boga, ale i powiększają przestrzeń, pomniejszając równocześnie człowieka, akcentując jego niezmienną małość wobec świata.

Wstęp ten, charakterystyczny dla pozornej powieści kryminalnej, zdaje się jednak nosić znamiona retrospektywne, bowiem jest to właściwie determinanta końca powieści, a nie jej początek. Kosmala uświadamia nam, jak złudna jest też chronologia, jako że nie powinniśmy się kierować jedynie literalnością w tekście. Musimy nauczyć się czytać tak, by ujrzeć problematykę tekstu niejako z lotu ptaka, obejrzeć panoramę świata, który został w nim przedstawiony. Czy jednak sama Kosmala stawia „pozór wyżej od prawdy”? Jaka filozofia jest jej bliższa? Kosmala we wszystkich przestrzeniach mentalnych zdaje się poszukiwać prawdy i natrafia nie na jej całość, lecz tylko na jej ślady. Pozostawia nam także wiele podpowiedzi na temat klamrowej kompozycji powieści, reminiscencji spowiednika Ewy, jawiącego się jako książdz-człowiek obłąkany-autor, który pisze *Złudę*, o czym przekonuje fragment: „On to c-a-t-y cz-a-s p-i-i-sz-e!”. Tekst toczy się w czasie powieściowym, rozciąga się w momencie pisania, ale i w chwilach odczytywania. Zawila, złudna konstrukcja powieści wskazuje zarówno na jej samozwrotność, jak i na dylemat poznawczy ludzi, którzy próbując ją poznać, nie potrafią percypować rzeczywistości do końca. Ocieramy się zatem jedynie o naskórek bytu, który jest tylko z wierzchu. Dotykamy więc tylko materiału świata, nawet go nie kosztując, nie mówiąc już o ujrzaniu jego podszełki, widocznej tylko po wywinieciu go na drugą stronę. Wobec tego problemu człowiek jest bezsilny, choć nie mentalnie wyeksplorowany.

Rozważania Kosmali oscylują także wokół istoty życia, które „odgrywamy”, nakładając odpowiednie maski. Wobec tego człowiek wrzucony w świat *Złudy* zastanawia się, na ile „jesteśmy świadkami utraty prawdy”, a na ile świadomymi tego udziału oszustami, deprawatorami autentyzmu. Czy w takim razie Kosmala wyklucza z istnienia prawdziwość? A może właśnie ta dezaprobata dla „maskolubów” XXI wieku jest wyrazem odrzucenia tej postawy, która tylko w literaturze może dziś w zostać w odpowiedni sposób wyartykułowana? Tekst zdradza przed nami istotną zależność: „Zdjęcie masek sprawia nam ból, więc pozwalamy im się zarosnąć z naszym wnętrzem i tym samym stać się jądrem naszej chybotałwej tożsamości”. Czy w takim razie świat jest pięknym czy brzydkim złudzeniem? W jaki sposób nałożona maska pozwala nam na niego patrzeć? Dlaczego jej chwilowe

uchylenie musi być cierpieniem? Te kwestie najlepiej objaśnia kreacja literacka, wizja w myśl której stajemy się absolutnymi właścicielami tych przebrań na tyle, że stają się one kompozytami naszej tożsamości. Literatura nas zmienia, jej absorpcja jest na tyle silna, że każe nam funkcjonować jako jej część właśnie. Czy w takim razie prawdą może być „zgodność rzeczy z rzeczywistością”? *Złuda* zaprzecza wszystkim tego typu konstatacjom.

Powieść Kosmali pojmować zatem można jako metaforyczną wędrówkę w głąb siebie człowieka-rzekomego niby-duchownego, którego pragnienia, a w tym jego wyobrażenie - główna bohaterka Ewa - są jedynie projekcją, złudną myślą, którą opętany jest jego umysł. Wobec tego słuszne wydają się echa idei świata pojmowanego jako „wola” w *Złudzie*, kreacji literackiej, którą tworzy byt nieistniejący człowieka opowiadającego swoją historię, zdającą się historią „bezcelową”, uczynioną samą dla siebie, metatekstualną refleksją zamkniętą w sobie bezwładnie wyznaczniki literackie. Tm bardziej, że już na wstępie dowiadujemy się, że spowiednik Ewy to „wybitny filozof i psycholog, autor bestsellerowej *Złudy*”. Schopenhauerowski świat pojmowany jako wyobrażenie wydaje się adekwatną inspiracją literacką, a szata filozoficzna rzekomo realistycznej prozy Kosmali okazuje się z ducha modernistyczną tkanką mieszczącą w sobie literacką samozwrotność. Gra o autorstwo powieści przelana na karty powieści, pragnienie rozpoznania opowieści drugiego człowieka przez spowiednika, aż w końcu poprowadzenie tej opowieści i nadanie jej mglistego końca to wszystko składa się na concept Kosmali, która rozkłada sprzeczne uczucia jednego człowieka - owego duchownego na kilka różnych postaci. Odwołuje się to do teorii binarnych opozycji w semiotycznym modelu Jurija Łotmana.

Jedynie złudzeniem jest zatem to, że człowiekowi można pomóc wspiąć się do góry, bowiem każdy sam musi dojrzeć do tego wyjścia „z jaskini”. Każdy pozostaje sam wobec swojego losu. Z kolei największą „skazą” na istocie ludzkiej jest porzucenie drugiego człowieka, odzwierciedlone w osobie Ewy - której imię odnosi się do biblijnej, „grzesznej potomkini”, decydującej się na opiekę nad jej babcią przez ośrodek pomocy. Jedyłą pamięcią osoby jest więc porzucenie, skazanie na samotność, a jego rekompensatą jest ponowne wtrącenie człowieka do więzienia - platońskiej jaskini. Cierpienie, niezborność emocjonalna, niemożliwość prowadzenia walki z pozorami rzeczywistości, ugaszenie w sobie wewnętrznej siły rysuje w człowieku nieusuwalną „skazę, która będzie zniekształcać już do końca rzeczywisty obraz”.

Irmina Kosmala: „Złuda”, Wydawnictwo VipArt, Gniezno 2020.



Magdalena Jankowska

Mój kochany trampkarz

pod słupkiem swojej bramki
przechwytuje
entuzjizm przeciwnika

i nie puszcza

Inny świat

*They have some eggs but no bacon.
They have some apples but no oranges*
ono poznaje język obcy ja rozpoznaję
swoje dzieciństwo

Dobrze jest

między nami
wznosimy mury
mamy na czym
wieszać krzyże

Stanisław Szwarc

Ukraina

Ach ta radość,
gdy Pietrzykowski nokautował Ruska
(dla młodych – bokser – lata pięćdziesiąte).
Jego pięść była naszą, inaczej się nie dało.

Co za widok.
Sasza, Giena i Wowa
z czołgu aż pod niebo
wyfruwiają w ognistej fontannie
jak w kolorowej, noworocznej racy.

Sasza miał Irinę, tylko osiem latek.
Matka Giény już wie, że nie będzie grobu.
Katia wciąż jeszcze wierzy, że Wowa powróci.

Miserere nobis Domine.
Господи помилуй нас.
Panie, zmiłuj się.
Pomóż, byśmy pozostali ludźmi.

Aldona Latosik

Okiem ptaków

Coraz więcej ptaków
w czarnych habitach
odprawia godzinki
w kapliczkach

nagich ramion gałęzi.

Przekrzykują się w modłach,
które nie docierają,
gdzie powinny.

Trawy w szeptach wiatru,
pokładają źdźbła
na poduszkach zrudziałego runa.

Jakby nie patrzeć,
z pierwszymi
wiosennymi promieniami
zmartwychwstaną.

A za miedzą,
barwna jesień
płonie zgrozą.

Broniąc swego,
jak wybarwione
czerwienią liście,
ścieli się rodzicielka
chłonna strzępy
ostatniego tchnienia.

Czy dobry Bóg
wskrzęsi rozrzucone szczątki?
Czy na podłożu podlewanym
ostatnimi kroplami życia
wyrośnie
Czerwona kalina?



Jolanta Ciecharowska

wyczekiwana

wyszła z morza zastała ciszę
zeszła z gór też na nią czekała
deszcz głąskał łagodnie

na seledynowej łące
napotkała szepczące ptaki
wszystko po brzegi trwało

odnalazła drzewo czekało
na nią cierpliwie. urodziła syna
zbudowała dom. naprawiła most

wyśpiewuje ciszę

Stanisław Chutkowski

Senna szarość hibernacji

Dobiega czas melancholijnej jesieni,
giną malowane złotem i brązem krajobrazy.
W ciszy nieruchomieją kikuty drzew,
chwieją się nagie krzewy i chude trawy,
poruszane lekkim wiatrem.

Senna szarość, matowieje światło,
jakby rozładowały się akumulatory słońca.
Osłabły trudami lata i nie mogą
przebić kopuły nieba.
Spowalnia życie, zatrzymuje się w hibernacji,
wyczekuje zimowego przesilenia,
wzbudzenia się jasności i na nowo.

Sławomir Krzyśka

* * *

Nie zamieniłaś
cichego wiatru w potok

Położyłaś
dotyk ślad

Mówiłaś
do przebrzmiałych głosów

Zabrałaś
powagą dłoni zachwyty

Zabrałaś
mnie

Michał Kaczmarek

Kot

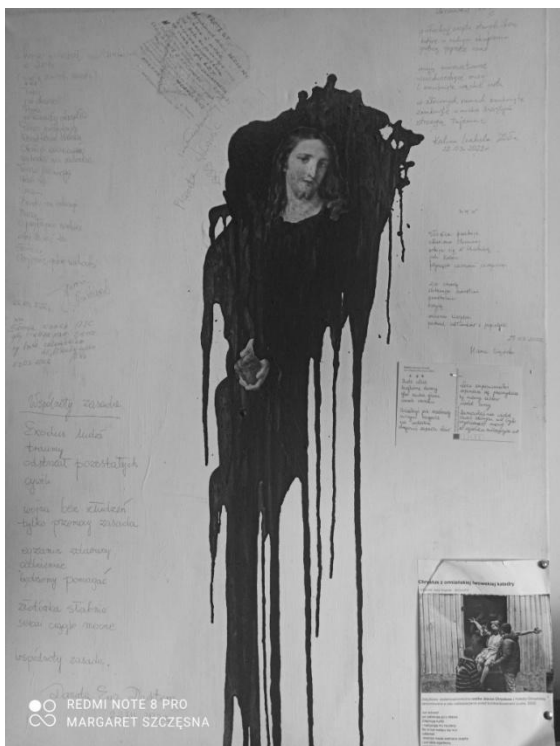
czai się na urwisku biurka
przegryza gardło nieruchomej nogawki
chodzi do wodopoju w kuchni
wygrzewa się pod elektrycznym słońcem
ucieka do pokoju przed nieznanym
plemieniem

świętecznych gości czy listonoszy
czeka za krzakiem firanki
wychodzi na równinę dywanu
tuli się do nóg swojego pana
który osiadł w dziwnym świetle
miłości nie nagiej lecz surowej
prawdy z przymrużonymi oczami
zasypiają przy sobie
kuchenka udaje skałę
drżenie głosowej strony udaje słowo

Jerzy Grupiński

Wędrująca ikona

Kiedy patrzę na obraz poznańskiej artystki Julii Kapczyńskiej, przedstawiający Chrystusa trzymającego w rękach krwawiące serce, pamięć przywołuje opowieści o niezwykłych dziejach obrazów, będących przedmiotem kultu, adoracji. O wizerunku, który samowolnie opuścił kościół, bo upodobał sobie inne miejsce, o wołach, które wiozły obraz i nagle zatrzymały się wyznaczając miejsce budowy świątyni. O Krucyfiksie, który przypląnął strumieniem, by zwrócić wzrok niewidomej sierotce, czerpiącej wiadrem wodę. Otarłem się o te historie, gdy niespodziewanie na wildeckiej ulicy zostałem obdarowany wyżej wspomnianą pracą Julii Kapczyńskiej. Obraz powędrował do poznańskiej poetki Małgorzaty Łyssowskiej-Szczęsnej, dzięki niej znalazł się na spotkaniu Klubu Literackiego w siedzibie poznańskiego NOT-u, na ulicy Wieniawskiego, na imprezie poświęconej m.in. tematyce związanej z wojną na Ukrainie. Tu spontanicznie „oklejono” płótno, umieszczając na nim (też na odwrocie) wiersze poświęcone walce i cierpieniu ukraińskiego narodu. W spotkaniu wzięli udział m.in. Paweł Kuszczynski, Jan W. Malik, Marek Słomiak, Edyta Kulczak, Maciej Grela i inni. Był i debiut Sławomiry Sobkowskiej - Marczyńskiej. Z poznańskiego NOT-u obraz noszący odtąd znamiona jakby przemieszczającej się ikony „zawędrował” do Pobiedzisk, gdzie w Salonie Artystycznym im. Jackowskich odbyło się spotkanie poświęcone Ukrainie oraz rocznicy Ludwika van Beethovena. Magdalena Blumczyńska przedstawiła gościa - poetkę malarzkę Natalię Rostowcewą. Czytano wiersze ukraińskie, zaprezentowały także swoje teksty trzy poznańskie poetki: Krystyna Mikołajewska, Danuta E. Dachtera, Małgorzata Łyssowska - Szczęsna. Wiersze czytali również: Jan W. Malik, Paweł Kuszczynski, Sławomir Krzyśka. Andrzej Haegenbarth obdarował Salon swoją natchnioną pracą z cyklu dzieł Heliosa.



Daromiła Wąsowska-Tomawska uderzyła w klawisze, wysłuchaliśmy fragmentu „Sonaty Księżycowej” Ludwika van Beethovena, wykonanej na zabytkowym fortepianie darowanym Salonowi przez szanowaną, poznańską rodzinę Knapowskich, a działo się to w siedzibie firmy „Palmark” (Basi malarki i Marka Płończaków). Spotkanie prowadzili Daromiła Wąsowska-Tomawska i Jerzy Grupiński. Wędrująca ikona (napiszmy z pewnym ryzykiem) wzbogaciła się o kolejne teksty i w rękach swej strażniczki Małgorzaty Łyssowskiej - Szczęsnej wróciła do Poznania. Tu, na następnej imprezie wzbogaciła się o tekst Jerzego B. Zimnego.

Małgorzata opisała wierszem dzieje naszego obrazu - [Szlam z Chrystusem / A On coraz bardziej ciążył / ludzkimi cierpieniami / wojen wszelkich ofiarami / Zwolniłam kroku spojrzalam /...wokół zawieszony na świeżych liściach spokój / Wiosenne odrodzenie.../ złowieszczy niepokój we mnie...] (fragment wiersza „Szlam z Chrystusem”).

Zapewne nieostatni to tekst związany z naszą ikoną, nieostatnia to jej przygoda...

Wkleiliśmy m.in. jeszcze pełen ekspresji wiersz Eugeniusza Tomana pt. „czas wyjść ze strefy cienia”. Parafrazując łacińską sentencję „Habent sua fata...” - w słowa - „mają swoje dzieje i obrazy” chce się też przypomnieć niedawny niezwykle finał wystawy prac Grażyny Kiełńskiej w poznańskiej galerii „Kreatura”, od lat prowadzonej przez mecenasa Andrzeja Maciejewskiego. Artystka (też i autorka świetnych wierszy) na koniec spotkania autorskiego obdarowała swoich gości obrazami, zachęcając: „Wybierzcie sobie Państwo...”

Uszczęśliwieni rzuciliśmy się na ściany galerii zrywając i unosząc wybrane prace.

I w sieci, i na papierze liczne wybory tekstów poświęconych Ukrainie... Oczekiwana antologia wierszy środowisk literackich, powstająca na linii Warszawa - Kraków ; inicjatywa Tadeja Karabowicza, kustosa skansenu ukraińskiego w Holi, wybór poetów ukraińskich w opracowaniu Kaliny

I. Zioly. Z inicjatywy Teresy Tomsia i Mariusza Grzebałskiego, dyrektora wydawnictwa

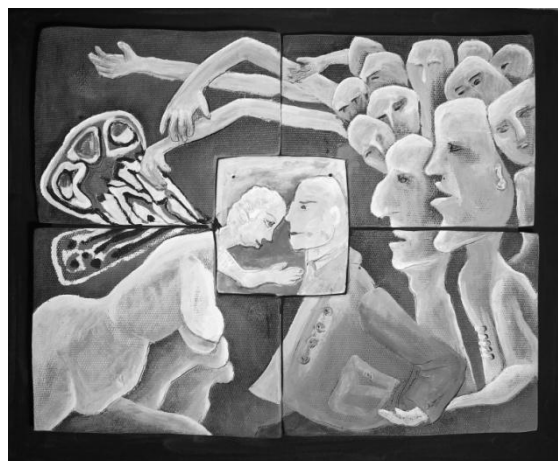
Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Kultury w Poznaniu powstaje antologia pt. „Czas pojąć ten świat, czas ukoić ból”, w której opublikują wiersze Adrianna Szymańska, Andrzej Sikorski, Elżbieta Juszcak, Eugeniusz Toman, Irena Knapik-Machnowska, Irmina Kosmala, Jan Sochoń, Janusz A. Kobierski, Jerzy Grupiński, Katarzyna Kuroczka, Maciej Krzyżan, Małgorzata Mikos, Mariusz Olbromski, Rafał Jaworski, Rafał Żebrowski, Renata T. Korek, Teresa Tomsia, Waław Buryła. Teksty wspomnianych twórców zostały wybrane z publikacji nadesłanych do paryskiego, internetowego portalu „Recogito”, prowadzonego przez pallotylna Marka Wittbrota, którego mieliśmy okazję gościć w Klubie Literackim w poznańskim Zamku. W posłowie pisanym do antologii przez Teresę Tomsia czytamy, że Marek Wittbrot jest autorem fotografii, które znajdują się w omawianym wyborze. Twórca eksponował swoje zdjęcia między innymi w paryskim Atelier Visconti i w łódzkim Muzeum Kinematografii. Jest autorem wielu tekstów poświęconych sztuce i literaturze (w 2021 r. wydał wraz z Pawłem Huelle *Rozmowy nad Motławą, Sekwaną i Wezerą, Reprezentować samego siebie. Maciej Niemiec in memoriam*. 2015 r.)

„W roku 2018 ukazały się książki Marka Wittbrota *W cieniu wieży Eiffla* i inne rozmowy oraz *O włóczęgostwie i innych przypadłościach*, najnowsza publikacja z 2021 r. to *Kręgi i progi*. Nasza współpraca literacka na linii Poznań - Paryż, jakiej się kiedyś podjęłam, przyniosła przez dwie dekady różnorodne realizacje w książkach poetyckich czy eseistycznych, a dziś również okazuje się owocna.” - pisze Teresa Tomsia.

Tak się rodzi nadzieja. Tyle prac, życzliwych akcji, aktów bezinteresownej pomocy - podanych rąk, otwartych serc... Stąd i przekonanie, wiara, że nie na próżno... Jak w wierszu zamieszczonym w „Protokole Kulturalnym”, którego autorem jest Tadej Karabowicz...

*Błogosławiona ręka odwróci wojnę
jak odwracała burzę na morzu
Ocali łaską wiary idących po wodzie.
By spełniła się odwaga i męstwo
nad przepaścią jarzma.*

(" Irmos")



Krzysztof Szymoniak

W poszukiwaniu własnego stada

Garść uwag o życiu i twórczości Krzysztofa Grzechowiaka

Czuję się zaszczycony faktem, że mogłem śledzić życie i twórczość poetycką Krzysztofa Grzechowiaka niemal od samych początków jego literackiej inicjacji, a konkretnie od chwili, gdy na przełomie lat 70. i 80., czyli ponad 40 lat temu, dołączył z malarzem Dariuszem Nowackim do ostatecznego składu NGP DRZEWO, a potem do FAMILII DRZEWO. Przypomnijmy ów skład: Ewa Cecylia Laskowska, Krzysztof Grzechowiak, Krzysztof Kuczkowski, Dariusz Nowacki, Tadeusz Sobkowiak i Krzysztof Szymoniak. To – że wtedy gnieźnianin (Nowacki) i wrześnianin (Grzechowiak), obaj 25-latkowie po wojsku, ale jeszcze przed studiami, pojawili się razem i w tym samym czasie w okolicach Grupy DRZEWO – to nie był zbieg okoliczności ani tym bardziej przypadek, ponieważ poznali się i zaprzyjaźnili w trakcie odbywania zasadniczej służby wojskowej w tej samej jednostce w Sulechowie. Dla ścisłości należy dodać, że późniejszy autor „Regaliów” i „Zaległych terminów” znał nasze grupowe początki od roku 1977, kiedy to przy Bibliotece Publicznej Miasta Gniezna ogłosiliśmy (jako grupa poetycka) pierwszy otwarty konkurs literacki.

Krzysztof Grzechowiak nie tylko przysłał wtedy swoje wiersze na ten konkurs, ale także obserwował publikacje prasowe na temat naszej, ogólnopolskiej już działalności artystyczno-literackiej, związanej z kolejnymi edycjami odbywającego się w Gnieźnie w latach 1978-1980 Piastowskiego Lata Poezji. To między innymi sprawiło, że – poszukując bliskiego swoim potrzebom „stada” bratnich dusz – uznał istnienie Grupy DRZEWO, a potem także Galerii Autorskiej Jana Kai i Jacka Solińskiego za okoliczność nie tylko sprzyjającą, ale i decydującą o pewnych wyborach, które do dziś nie straciły ważności. W tym kontekście moje słowo „śledzić” z pierwszego zdania nie jest zbyt precyzyjne, ponieważ sam wtedy (40 lat temu) dopiero uczyłem się rzemiosła poetyckiego, a Krzysztof pojawił się między nami z – jak pamiętam – dosyć spójną wizją języka, metafory, obrazowania. Niezależnie od tego, czym dzielił się z nami w Grupie i czym nas wzbogacał Sobą, wydeptywał też własne ścieżki literackie (głównie w Poznaniu i okolicach, a potem w Bydgoszczy i Sopocie), miał swoich mistrzów, swoich mentorów oraz poetyckich druhów – np. Andrzeja Babińskiego, Jana Kaspra czy Tadeusza Siejaka – utrzymując ten stan do dzisiaj, obdarzając literacką przyjaźnią i życiową troską Hannę Kacewicz-Sygidus i Macieja Krzyżana. O innych ważnych dla siebie osobach wspomina w swoich publikowanych ostatnio felietonach literackich i dedykacjach poetyckich. Tak więc był (i jest) z nami, ale był (i jest) też z tymi, których cenił, kochał i szanował. Przez całe swoje literackie życie nie zapominał o przyjaciółach, obdarowując ich sercem, zrozumieniem, konkretną pomocą,

własną obecnością, listami, wycinkami prasowymi na interesujące ich tematy oraz (często) flaszką dobrego trunku.

Kompletowana z wieloletnim mozołem druga książka poetycka K. Grzechowiaka również zawiera takie dedykacje i wspomnienia o ludziach ze „stada”, które – co ważne – nie są banalną retoryczną laurką, zawsze bowiem są one pretekstem do wspomnień, rozważań i prób portretowania obdarowanych, ale także próbą sportretowania/zdefiniowania własnego losu w kontekście wspólnych z obdarowanymi przeżyć i działań. Czytając zamieszczone w tej książce wiersze, można sporo dowiedzieć się nie tylko o przyjaźniach ich autora, ale przede wszystkim o jego życiowych oraz literackich peregrynacjach. Te wiersze nie kłamią – opisane w nich sytuacje i przypadki niejednokrotnie wystawiały ciało i duszę Poety, jego szlachetne człowieczeństwo, na ciężkie próby losu Hioba, z których jak dotąd wychodził zawsze obronną ręką.

Krzysztof Grzechowiak: „zaległe terminy”, Galeria Autorska Jan Kaja, Jacek Soliński, Bydgoszcz 2022, red. Maciej Krzyżan, Krzysztof Szymoniak.

Zdzisław Czwartos

List do ojca drugi

Grudzień. Noc. Ziemię pokryła gruba warstwa śniegu. W białe szaty badyli dał wiatr. Śnieżne drobne gwiazdy w świetle latarni wirowały, a te z powietrznych kominów pędziły w granatowe niebo, łączyły się z odległymi o tysiące lat i tam razem z innymi zanikały z nadchodzącym świtem. Mróz. Cisza. Poranek. Za oknami wrony. Czarne ptaki wychodziły na żer. Niektóre na szkieletach szarych lip sterczały znieruchomiełe, bacznie obserwując. Cisza. Ciszę zakłóciły krzyki... i łomotanie do drzwi nędznej drewnianej chaty przy ulicy Ceglanej. Próchniejące deski jęczały. Rąbane kolbami karabinów, kopane żołnierskim butem napełniały trwogą trzęsącą się ze starości izbę. Dźwięk rozgniatanych grudek lodu, hałaśliwy szwargot i to powtarzające się w kółko: Aufmachen! Aufmachen!.....Pamiętam. Nim zapalono ogarek świecy, nim płomień zatańczył na ścianach i oknie zasłoniętym kocem, umknął przez strych, przez tajny otwór w dachu, bosą stopą, prosto, ogrodemw śnieg. Ranek przyprowadził matkę z gestapo. Dzień białymi płatami zatarł ślady nocy.

Dominik Górny

Po konkursie...

Jeśli w muzyce istnieje reinkarnacja, to Wieniawski powrócił do nas w talencie HinyMaeda – zwyciężczyni 16. Edycji Międzynarodowego Konkursu im. Henryka Wieniawskiego. Ten jeden z najbardziej prestiżowych na świecie konkursów skrzypcowych, odbył się w Poznaniu i trwał od 7 do 21 października br. Po raz kolejny udowodnił, że można wyznaczyć nowy standard rozumienia mu-

zyki skrzypcowej i transponowania dorobku patrona wydarzenia na partyturę zdarzeń współczesnych – scenicznych jak i pozaartystycznych.

Parafrazując przekonanie, Augustina Dumay, przewodniczącego jury – konkurs i codzienność, to dwie równoległe rzeczywistości. Nie wszyscy, którzy zajmują pierwsze miejsca, przechodzą do historii. Czasem nie tylko talent decyduje o zrobieniu kariery. Z takim przekonaniem w Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, występowali młodzi wiekiem lecz dojrzałym pod względem artystycznym skrzypkowie. Przypomnijmy, akces do udziału w konkursie zgłosiło 220 skrzypków z 30 krajów. Odnosząc się do kwestii ich narodowości, najwięcej spośród nich było Polaków. Do prezentacji wybrano 27 kobiet i 14 mężczyzn. W pewnym momencie, z powodów zdrowotnych z uczestnictwa w konkursie zrezygnowała Natsuki-Gunji, reprezentantka Japonii.

Jury przewodniczyła osobowość określana mianem „wielkiego klasycznego stylisty”. Jak usłyszał piszący te słowa – zwrócił uwagę, że poszukuje talentów, które definiuje poprzez zdolność wykonywania warsztatu do pokazania czegoś więcej – do stworzenia kreacji twórczej wynikającej z akcentowania osobowości scenicznej. Podobnymi zasadami kierowali się pozostali członkowie jury. Każdy z nich w swoich ocenach był autorski. Co więcej, poza umiłowaniem muzyki sensu stricto, łączyło ich pragnienie odnalezienia takich talentów, które skłonne są mieć własne zdanie na temat dziedzictwa Wieniawskiego; jednak alfabet przeżyć tworzony przez ruchy smyczków, „dobrze mówi” o tradycjach sztuki odkrywania duszy skrzypiec. Nie należy też dążyć za wszelką cenę do perfekcjonizmu – zauważyła Agata Szymczewska, zwyciężczyni 13. edycji Konkursu a zarazem ambasadorka tegorocznej jego edycji. Taki rezonans uczuć i formalnych opinii prowadził nas przez kolejne dni przesłuchań. Jury uczestniczyło w nich w następującym składzie: Augustin Dumay - przewodniczący, Daniel Stabrawa - wiceprzewodniczący, Agnieszka Duczmał, Barnabás Kelemen, René Koering, Grzegorz Kotów, Bartłomiej Nizioł, Mariusz Patyra, Miguel da Silva, Jian Wang, Christopher Warren-Green.

Członkowie jury obradowali cztery razy. Po raz pierwszy w dniu inauguracji Konkursu. Następnie po każdym z etapów. Niezależnie od tego na bieżąco dzielili się spostrzeżeniami. Głosowanie przebiegało poprzez punktowanie uczestników i obliczanie średniej arytmetycznej ocen.

Kluczem nie tylko wiolinowych doznań, otwierały się kolejne etapy konkursu, który w domyśle był rywalizacją o docenienie dziedzictwa literatury skrzypcowej. Jego miarą było odnalezienie własnego języka, który będzie nie tylko zrozumiały dla publiczności, ale podpowie jak można w nowatorski (oryginalny) sposób czytać (słuchać) tego, co kiedyś było głosem swoich czasów, a dziś jest echem – co dla dawnych marzeń było echem a obecnie jest ich spełnieniem. Przenikanie tradycji z teraźniejszością, zachwytu z niepewnością, zderzenia z podskórnym spokojem wyznaczało interpretacje takich kompozycji jak np.: sonaty i partity Bacha, sonaty Beethovena i kaprysy Paganiniego (I etap); recitale z towarzyszeniem fortepianu, który był wiernym sprzymierzeńcem dla sonat skrzypcowych i utworów Karola Szymanowskiego (część I, etap II).

Horyzont muzycznych doznań podwyższyła Sinfonia Concertante Es-dur Wolfganga Amadeusza

Mozarta. To właśnie w niej (i może dla niej) startujący w konkursie soliści spotkali

się z Orkiestrą Kameralną Polskiego Radia Amadeus pod dyrekcją Anny Duczmał-Mróz i altowiolistami: Michałem Brylą, Katarzyną Budnik oraz Ryszardem Groblewskim. III etap zmagani wybrzmiał koncertem skrzypcowym D-dur, op. 61 L. van Beethovena, I Koncertem skrzypcowym f-moll, op. 14, II Koncertem skrzypcowym d-moll, op. 22 H. Wieniawskiego oraz Koncertem skrzypcowym D-dur, op. 77 J. Brahmsa. Artystom towarzyszyła Orkiestra Filharmonii Poznańskiej im. T. Szeligowskiego pod batutą Łukasza Borowicza.

O każdym z solistów można byłoby powiedzieć – kocha muzykę uczuciem namiętym lecz zazdrosnym. Jednak miłość do muzyki skrzypcowej okazała się nie tylko najsilniejsza ale i odwzajemniona dla takich solistów jak wspomniana już laureatka pierwszego miejsca: Hina Maeda (Japonia, 20-latką) oraz: Meruert Karmenova (Kazachstan, II nagroda, 29-latką), Qingzhu Weng (Chiny, III nagroda, 21-latek). W przypadku Maeda i Weng’a sprawdziło się przysłowie, że ostatni będą pierwszymi, bowiem to właśnie oni zamknęli całość przesłuchań.

„Jesteśmy przekonani, że poniesiecie w świat piękno muzyki Wieniawskiego i rozświećcie polską kulturę i nasze miasto. W 1854 roku Henryk Wieniawski podarował stolicy Wielkopolski «Souvenir de Posen» – myślę, że każdy z was zapisał w tych dniach swoje pozdrowienie z Poznania” – takie słowa wypowiedziała do laureatów Alina Kurczewska, Prezes Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego. Zauważmy, że jury przyznało również trzy równorzędne wyróżnienia. Powędrowały do takich finalistów jak: Hana Chang, Jane Hyeonjin Cho i Dayoon You. Pula nagród w Konkursie wyniosła 115 tysięcy euro, z czego 50 tysięcy otrzymała laureatka pierwszego miejsca, 30 tysięcy – laureat drugiego miejsca oraz 20 tysięcy – laureat trzeciego miejsca. Wyróżnienia wyniosły 5 tysięcy euro. Karolina Kaźmierczak, Dyrektor Konkursu życzyła wszystkim laureatom, aby „mogli spotkać się na estradach i na wszelkich koncertach w przyszłości”.

W tym aspekcie warto zauważyć istnienie nagród pozaregulaminowych. Jest to trasa koncertowa. Składa się na nią 30 występów w Polsce i 30 za granicą. Jeśli zaś chodzi o samego laureata – dla przykładu w Europie wystąpi z orkiestrami w Niemczech, Francji, Czechach, Bułgarii, Czarnogórze, Chorwacji, Słowenii, Estonii, Łotwie i Litwie. Zagości on też w Azji, obu Amerykach i Afryce. Odwiedzi takie sale koncertowe jak Salle Gaveau w Paryżu, National Concert Hall w Taipei, Seoul Art Center, Muziekgebouw Eindhoven czy też Akademia Liszta w Budapeszcie.

Spuścizna Wieniawskiego nadal porywa melomanów i inspiruje muzyków, w tym skrzypków związanych z Konkursem. „(...) miał niezwykły sposób kształtowania dźwięku, zwłaszcza instrumentów smyczkowych” – wyznała Alena Bajewa, zwyciężczyni Konkursu w 2001 roku. Hina Maeda w rozmowie z autorem tego artykułu stwierdziła – „Wieniawski to taki ktoś, kto pokazuje współczesnym skrzypkom jak być kimś. Ten, kto pozna jego kompozycje i będzie je potrafił zagrać, ma szansę odkryć to, co w muzyce jest ponadczasowe”. Jak widać, naszej zwyciężczyni się to udało.

Jerzy Benjamin Zimny

Debiut zastrzeżony

Jak sięgam pamięcią, nigdy nie miałem do czynienia z debiutem poetyckim, który byłby obwarowany klauzulą następującej treści: „Książka, ani żadna jej część nie może być kopiowana ani odtwarzana w jakiegokolwiek formie i przy użyciu jakiegokolwiek środków bez pisemnej zgody wydawcy”.

Książki poetyckie, jak się utarło, od momentu ukazania się, żyją własnym życiem. Każdy autor marzy o tym, aby jego wiersze były przedmiotem zainteresowania, aby były cytowane po wielokroć w „jakiegokolwiek formie”. Tymczasem kilka dni temu trafił do moich rąk debiut lubońskiego poety Sergiusza Myszograja. Debiuty poetyckie traktuję przeważnie z rezerwą, tak było i tym razem, ale po lekturze wstępnej (kilka wierszy przeczytałem dogłębnie) nie ukrywam, że książka mnie zaintrygowała, nawet poczułem pewien entuzjazm, ponieważ od dawna nie miałem w rękach ciekawego debiutu poety, mieszkającego w moim bezpośrednim otoczeniu.

Wspomniana klauzula wydawcy zamyka mi drogę do sporządzenia recenzji, pozbawia możliwości korzystania z fragmentów wierszy, co jest nieodzwonne przy analizie. Brak możliwości powoływania się na cokolwiek zawarte w tej książce, zamyka wszystko, co mogłoby się wydarzyć teraz i w przyszłości. Wydawca jak i autor, nie wiem czym się kierowali podejmując tę decyzję, może byli przekonani, że wartość tej poezji jest bardzo wysoka?

Przez moment byłem tego pewien, dopóki nie przeczytałem tekstu wstępu pióra Jerzego Grupińskiego, cytuję: /.../ „Pierwsza książka Sergiusza Myszograja... Jego opowieść o poetyckim starcie w 1993 roku, w konkursie poetyckim Domu Kultury „Wierzbak” w Poznaniu... Oto 19-letni adept pióra został publicznie, w przytomności uczestników konkursu, zrugany przez przewodniczącego jury, znanego poznańskiego pisarza. Ba! Posądzony o plagiat z tekstów naszych skamandrytów – Juliana Tuwima, Artura Słomińskiego i innych. /.../. Sądzę, że chodzi nie, o „Artura Słomińskiego” ale o Antoniego Słonimskiego? Tak na marginesie.

Czy klauzula wydawcy współgra z wpisem Jerzego Grupińskiego? Na pierwszy rzut oka raczej nie, ale po głębszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że jednak współgra i do tego winduje autora debiutu w górę – skamandryci są dobrym podłożem, wzorem dla adeptów poetyckiej sztuki. Nie wspominając o tajemniczym poznańskim pisarzu, który posądził debiutanta wówczas o plagiat.

Książkę przeczytam, dokonam wglębnej analizy na swoje potrzeby, może nawet kiedyś wspomnę o tym ciekawym debiucie, ale nie będę prosił wydawcy o uzyskanie zgody na „jakąkolwiek publikację” w „jakiegokolwiek formie”.

<http://zlp-poznan.e-kei.pl/recenzja/wylewanie-dziecka-z-kapiela/>

* * *

Drogi Jerzy, zawsze byłem dość dobry z polskiego, więc wiem – Słonimskiemu było Antoni. Redaktorzy książki zmienili imię. Arnold – też ładnie. A postawisz piwo, to powiem Ci, kto zrugał wtedy młodego Sergiusza Myszograja, podejrzewając go o teksty pisane językiem skamandrytów, ale to nie ja wymyśliłem na stronie redakcyjnej sławetny dopisek o zakazie cytowania Sergiusza Myszograja. Mimo że figuruję jako „redakcja”, umieszczono ten passus bez mej zgody. Uchylmy więc podejrzenia, jakobym chciał „windować” ten debiut. Moja współpraca z autorem ograniczała się do tzw. „dobrych rad” w zakresie wyboru tekstów oraz rozbudowanych point. Oczywiście decydujące zdanie miał autor.

Dziękuję Ci za informację o zabawnym tekście. S.M. na fb (szybko zdjętym) pt. „Starzy poeci muszą odejść”.

Jerzy Grupiński

Sergiusz Myszograj: „Miodu do ran”. Ośrodek Kultury w Luboniu 2022, ilustracje Marta Wojewoda.

Mariola Kalicka - Absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu w pracowni prof. Bazylego Wojtowicza. Twórczość prezentowała na 28 wystawach indywidualnych i wielu wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Uczestniczyła w sympozjach rzeźbiarskich w Burgas, Idżewan i Orońsku. Prace w zbiorach: Muzeum Narodowe – Poznań, Centrum Rzeźby – Orońsko, Muzeum Miedzi – Legnica, Muzeum Okręgowe w Toruniu, Muzeum Medalierstwa – Wrocław, Muzeum Ceramiki – Bolesławiec, Muzeum Chleba – Radzionków, Muzeum Regionalne - Barlinek. Laureatka Biennale Małych Form Rzeźbiarskich w Poznaniu (Grand Prix 1995), Salonów Zimowych w Warszawie, Biennale Dantesca w Rawennie, Wystawy „Ekologium” w Szczecinie, Biennale Rzeźby w Krakowie, Warsztatów ceramicznych - Ceramika we Wrocławiu, Międzynarodowej wystawy „Satyrykom” w Legnicy, Wystawy Krajowej w Czarnkowie

W numerze wykorzystano fotografie prac Marioli Kalickiej – ceramiki barwione na zimno
s.1 – Poległym, s. 3 – Rozmowa, s. 10 - Fobia
s. 14 – To nie moja bajka, s. 15 – Katedra przed
s. 17 – Co ludzie powiedzą.